

W NUMERZE: Forum: PRL — RFN ■ Dalszy ciąg dyskusji historyków ■ K. Pogorzalec o przemyśle Łodzi w 60-lecie ■ Prawie wszystko o budownictwie mieszkaniowym ■ Dokąd zmierza „Mazovia”? ■ Rozmowa o postępie technicznym w rolnictwie ■ Przedstawiamy laureatów nagrody MON ■ Festiwal kulturalny studentów ■ Paryski weekend ■ Opowiadania L. Świeżawskiego i „Bosy sezon” W. Roszewskiego ■ Kronika kulturalna ■ Recenzje ■

Łódź

odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny



NR 47 (1093) ROK XXI

19 LISTOPADA 1978 R.

CENA 3 ZŁ



Foto. W. Parys

JERZY WAWRZAK

NASZ PROBLEM NUMER JEDEN

Na początku listopada br. odbyło się Plenum Komitetu Łódzkiego partii poświęcone sprawom budownictwa mieszkaniowego. W obradach uczestniczył członek Biura Politycznego i sekretarz KC STEFAN OLSZOWSKI oraz inni przedstawiciele władz centralnych. Przewodniczył BOLESŁAW KOPERSKI, I sekretarz KŁ, wygłaszając także referat wprowadzający do dyskusji, w której wzięło udział kilkunastu przedstawicieli budownictwa, spółdzielczości mieszkaniowej, samorządu mieszkańców i działaczy partyjnych różnego szczebla. Wcześniej uczestnicy plenum otrzymali starannie przygotowaną informację opracowaną przez Zespół Budownictwa i Gospodarki Miejskiej KŁ i odpowiednio zestawienia liczbowe sporządzone przez Wojewódzki Urząd Statystyczny. Zgromadzone materiały plus notatki z dyskusji plenarnej, a także późniejsze rozmowy z kilkoma specjalistami, skłoniły mnie do obszerniejszego, niż zazwyczaj, potraktowania tematu obrad łódzkiej instancji partyjnej; tematu — w warunkach miasta i województwa — na wiele lat numer jeden.

Poprawa warunków życia społeczeństwa

Jest najważniejszym celem polityki partii kontynuacja strategii przyjętej na VI i potwierdzonej na VII Zjeździe PZPR. W hierarchii zadań — obok rozwoju gospodarki żywnościowej — priorytetowe znaczenie zostało nadane rozwojowi budownictwa mieszkaniowego. Dobrze zaopatrzone stół i solidny dach nad głową to nie tylko rozwiązanie zagadnienia mate-

rialnego bytu społeczeństwa. Warunki życia każdej polskiej rodziny, a w tym na pierwszym miejscu warunki mieszkaniowe, determinują stopień uczestnictwa w aktywnym życiu kulturalnym, pośrednio wpływają na efekty działalności oświatowej i samokształceniowej, są podstawowym warunkiem wypoczynku po pracy i regeneracji sił, znaczącym elementem wychowania i opieki nad młodym pokoleniem.

Wage tych spraw najlepiej wyrażał towarzyszy Edward Gierek mówiąc:

„Warunki mieszkaniowe to jedna z najważniejszych przesłanek awansu kulturalnego i cywilizacyjnego ludzi oraz realizacji humanistycznych celów. Jakże stawia socjalistyczny ustrój... Uznajemy zgodnie z powszechnie wyrażaną opinią, że mieszkanie stanowi jeden z najistotniejszych składników ogólnego programu podnoszenia stopy życiowej ludności, że jest ono warunkiem stabilizacji i rozwoju rodziny.”

W województwie łódzkim instancja partyjna do spraw budownictwa, zwłaszcza w ostatnich latach przywiązuje wielką wagę. Temat ten najczęściej pojawia się na forum plenarnych obrad KŁ (w ub. roku również odbyło się Plenum KŁ poświęcone jakości i efektywności budownictwa mieszkaniowego i towarzyszącego mu w pracach Egzekutywy i Sekretariatu KŁ, instancji dzielnicowych, miejskich i gminnych. Wynikiem takiego stanowiska i konsekwentnego działania są osiągnięte rezultaty upoważniające do stwierdzenia: ludziom żyje się lepiej! Choć zdajemy sobie doskonale sprawę, że do rozwiązania problemu jest jeszcze daleko. Jak daleko? Żeby przybliżyć się do odpowiedzi przedstawmy najpierw

sytuację mieszkaniową w województwie.

Także nieco w aspekcie historycz-

Dalszy ciąg na str. 7

Z TAŚMY MAGNETOFONOWEJ

RÓŻNE DROGI DO NIEPODLEGŁOŚCI

W poprzednim numerze „Odgłosów” opublikowaliśmy omówienie dyskusji, jaka odbyła się w naszej redakcji. Przedstawiliśmy rozwój myśli niepodległościowej w XIX wieku. Szlachta w miarę upływu czasu traciła przewodnictwo w walce o niepodległość Polski, do walki tej włączali się mieszczaństwo, plebs, chłop. Pojawiła się nowa siła społeczna — robotnicy. Obok socjalizmu pojawił się nacjonalizm. Rozwijał się ruch ludowy. Każde z ugrupowań politycznych miało inną koncepcję niepodległej Polski i drogi, jaka do tej niepodległości wiedzie. Pod koniec XIX wieku i na początku XX zmieniła się sytuacja w Europie, a wraz z nią w nowy etap weszła walka o niepodległość w Polsce. Temu zagadnieniu poświęcone jest niniejsze omówienie dyskusji, w której udział wzięli:

- prof. dr habil. Stefan BANASIAK
- doc. dr Alina BARSZCZEWSKA
- prof. dr habil. Andrzej F. GRABSKI
- doc. dr Waldemar MICHOWICZ

W. MICHOWICZ: — Na przełomie XIX i XX wieku, kiedy kapitalizm przeradza się w imperializm, zaczynają się ujawniać sprzeczności między trzema ówczesnymi wielkimi mocarstwami, zaborcami Polski. Te sprzeczności i tworzenie się nowego układu sił pod koniec XIX wieku w Europie zrodziły wśród Polaków nadzieje i wpłynęły na dalszy kształt myśli niepodległościowej.

Przypomnijmy zatem w skrócie, jak wyglądała wówczas sytuacja międzynarodowa w Europie. Chodzi oczywiście o te wydarzenia, które miały znaczenie dla walki niepodległościowej Polaków. Będzie to więc porozumienie niemiecko-austriackie z 1879 roku. Było ono wynikiem ewolucji, jaka zaszła w sytuacji międzynarodowej Europy z końca XIX wieku i w rezultacie doprowadziła do porozumienia rosyjsko-francuskiego z 1891 roku, a także do utworzenia sojuszu francusko-angielskiego i następnie zawarcia porozumienia rosyjsko-angielskiego z 1907 roku.

Nowe układy polityczne i wyrażające je sojusze wojskowe zrodziły nadzieje, że może dojść do konfliktu między Niemcami i Austro-Węgrami z jednej strony, a Rosją, Anglią i Francją z drugiej strony. Wpłynęło to na wzrost aktywności poszczególnych grup społecznych i organizacji politycznych w Polsce. W wielu stolicach europejskich rozpoczęto akcję dyplomatyczną zmierzającą do wyniesienia na forum polityczne sprawy niepodległości Polski. Usiłowano pozyskać dla sprawy polskiej Francję i An-

glię, aby w chwili dojścia do konfliktu zbrojnego z Niemcami i Austrią niepodległość Polski mogła stać się sprawą pierwszej wagi. W miarę zaostrzania się konfliktu w Europie i zainteresowania się sprawami Europy w Stanach Zjednoczonych również i tam mówi się o sprawie polskiej. Środowisko Polonii amerykańskiej waży przecież na sytuacji wewnętrznej Stanów Zjednoczonych i Polacy chcą również wygrać i tę możliwość dla odrodzenia niepodległości Polski.

A. F. GRABSKI: — W tym układzie stosunków w silny sposób znaczący swoją obecność nowe siły społeczne. Sprawa niepodległości Polski interesowała się nie tylko dyplomaci, ale i działacze organizacji politycznych.

W. MICHOWICZ: — Istotnie, z jednej strony była działalność dyplomatyczna, a z drugiej — coraz większe znaczenie odgrywały ruchy niepodległościowe. Typowym zjawiskiem dla końca XIX wieku było rodzenie się świadomości narodowej wielu ludów, uświadamianie swego miejsca na mapie politycznej Europy i domaganie się takiego bytu państwowego, który by to miejsce i rolę sankcjonował.

W tym czasie rozwija się przecież silny ruch narodowościowy na Bałkanach. Silny jest nasz ruch narodowościowy. Ale — co najważniejsze — ruchy te rozwijały się w państwach zaborczych. Rodziło to wewnętrzne

Dalszy ciąg na str. 3

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępcy redaktora naczelnego), JERZY WILMANSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RYŻYŃSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny).
Stale współpracują: IAN BABIŃSKI, ANDRZEJ BŁAJER, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, TADEUSZ CHROCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMANSKI-GLANC, JERZY URBANKIEWICZ.

sprzeczności w Austrii i Rosji i sprzyjało walce wyzwolenczej Polaków.

A. F. GRABSKI: — Myślę, że trzeba koniecznie odpowiedzieć na pytania: Jak do tych nowych układów politycznych, do tych rodzajów się i nasilających ruchów niepodległościowych narodów, a przede wszystkim do polskiego ruchu niepodległościowego ustosunkowały się różne siły społeczne i organizacje polityczne?

S. BANASIAK: — W stosunku do stanu z połowy XIX wieku, pod koniec XIX wieku w rozwoju świadomości narodowej nastąpiło nieprzewidywalne przyspieszenie. Do pewnego czasu Europa żyła pod wrażeniem walki wolnościowej Irlandczyków, Polaków, Greków, Węgrów. Do tego doszła walka o wolność Bułgarów, Rumunów, narodów dzisiejszej Jugosławii. Walka narodowościowa w ówczesnej Europie narastała szybciej niż to można było przewidzieć i wkał kulować we wszelkie układy i rozważania polityczne. To też miało wpływ na układy sił politycznych ówczesnej Europy, ale i na wolnościowe koncepcje Polaków.

Polacy na przykład nigdy nie zakładali możliwości odrodzenia państwa polskiego pod hegemonią Niemiec. Byli natomiast koncepcje, które zakładały możliwość utworzenia autonomicznego państwa polskiego w ramach monarchii austro-węgierskiej lub imperium carskiego. Dla Bułgarów czy Czechów problem ten przedstawiał się inaczej. Oni swoje wolnościowe nadzieje wiążyli z Rosją.

A. F. GRABSKI: — Były też polskie oferty pod adresem Rosji. Tylko, że partnera do ich realizacji nie było. Siły polityczne Rosji carskiej nie były tym zainteresowane.

S. BANASIAK: — W Polsce była silna niechęć do zaborców, w tym i do Rosji, ale mimo to w grach politycznych, w rozważaniach nad sposobami uzyskania niepodległości, brano pod uwagę możliwość, że Polacy, zostaną zjednoczeni w ramach jednego imperium.

A. F. GRABSKI: — Stawiano między innymi na liberalną opozycję antycarską.

S. BANASIAK: — Nie było jednak jasności, w ramach jakiego imperium ma się dokonać zjednoczenie, czy w imperium carskim, czy w monarchii austro-węgierskiej. Zgodność była tylko co do jednego, że nie wchodzi w grę monarchia pruska.

A. F. GRABSKI: — Z koncepcjami federacyjnymi występowały różne siły społeczne. Tego rodzaju rozwiązania proponowała też lewica.

S. BANASIAK: — Takie propozycje brały się między innymi z przekonania, że rewolucja społeczna rozwiąże niejako automatycznie wszystkie istotne problemy. Zaciążyło to nad sposobem myślenia działaczy lewicy socjalistycznej. Takie przekonanie czyniło zbędnym wszelkie rozważania na temat granic przyszłego państwa. Nie trzeba było ustosunkowywać się do granic, które wynikały z tradycji polskiej państwowości. Można było całą sprawę sprowadzić do wymiarów etnicznych. Rodziło to jednak pewne niedomówienia. Nie precyzowano przecież, czy ma to być niepodległość państwowa w pełnym tego rozumieniu, czy autonomia w ramach federacji świata ogarniętego nowym porządkiem społecznym. Nie było takiej potrzeby, skoro wszystko miało automatycznie niejako załatwić rewolucja.

A. F. GRABSKI: — Dla mnie jest coś pięknego, romantycznego, a zarazem utopijnego w tym dziewiętnastowiecznym przekonaniu, że rewolucja rozwiąże wszelkie absolutne problemy i to za jednym zamachem. Ale takie przekonanie rodziło społeczne i polityczne konsekwencje.

A. BARSZCZEWSKA: — Sprawa jest bardziej skomplikowana, niż się wydaje. Współczesne badania wykazują, że teza głosząca, jakoby SDKPiL nie przywiązywała wagi do sprawy niepodległości jest tezą przestarzałą.

A. F. GRABSKI: — Zgoda. Jest to teza przeciwników SDKPiL, którą później z powodzeniem wykorzystywali przeciwnicy komunizmu. Różnice w podejściu do sprawy niepodległości często wynikały ze sposobu myślenia na ten temat. Rewolucjonści, wychodząc z założenia, że wszystkie problemy rozwiąże rewolucja, odsuwali ten problem na bardzo daleki plan, nie precyzowali go bliżej, bo — w ich mniemaniu — nie było po temu powodów. Ale z tej przyczyny nie można im odmawiać ani poczucia patriotyzmu, ani przywiązania do polskości. Jeśli dobrze wyczytać się w pisma Róży Luksemburg, która była przeciwniczką skrajnego internacjonalizmu, to widać jak bardzo była przywiązana do polskości. Kiedy pisała o polskim krajoznawie, kiedy odwoływała się do poezji Adama Mickiewicza, to nie robiła tego ze względu na koniunkturalność. Były to wyznaczniki kogoś szczerze do Polski przywiązanego. Tak możemy to dziś obiektywnie ocenić. Wówczas jednak liczyły się praktyczne skutki teoretycznych założeń.

Warto może tę sprawę głębiej wyjaśnić. Moim zdaniem w obu drogach, którymi chciała kroczyć PPS i SDKPiL, była uwzględniona kwestia

niepodległości Polski. Tylko, że jedni uważali ją za pierwszoplanowy punkt programu działania, a drudzy — że sprawa wyjaśni się sama, kiedy dokona się rewolucja światowa. Tylko, że wówczas lansowanie takich teorii było dogmatyzmem, nie liczeniem się z polityczną rzeczywistością.

S. BANASIAK: — Mówimy wprawdzie o zjawiskach, jakie miały miejsce na przełomie XIX i XX wieku, ale w istocie ciągle tkwimy w sposobie myślenia typowym dla XIX wieku. Gdybyśmy spojrzeli na te sprawy z perspektywy czasu, biorąc pod uwagę procesy, jakie zachodzą już w XX wieku, to trzeba powiedzieć, że ruch socjalistyczny wywodził się z tradycji marksistowskiej i tych ideologów, którzy idee Karola Marksa popularyzowali, koncentrował się głównie na zadaniach klasy robotniczej. Abstrahowano od reszty sprzeczności, jakie nurtowały ówczesne społeczeństwa.

W XX wieku partie komunistyczne, socjalistyczne. Ideologzy tego ruchu podchodzi do spraw społecznych w sposób kompleksowy. Przykładem tu mogą być ruchy narodowo-wyzwolencze ludów Azji. W szczególności Wietnamu, gdzie prześladowany przez interesami klasowymi stawia się zadania narodowe, co pozwala koncentrować wokół sił rewolucyjnych całe niemal społeczeństwo. Wietnam stał się praktycznie niepokonywanym właśnie dzięki temu, że siły proletariackie potrafiły skupić wokół swoich programów całe społeczeństwo.

Ale gdzieś od połowy XX wieku obserwujemy inny proces, szczególnie typowy dla niektórych krajów Afryki i nawet Ameryki Południowej, gdzie znów siły burżuazyjne wykorzystują

teją ustrój na nieco zmodyfikowanej Konstytucji 3 Maja. Na lewicy mamy ruch socjalistyczny, który podchodzi do sprawy niepodległościowej w sposób zróżnicowany, ale wiąże ją z głębokimi przemianami społecznymi i ustroju. Wśród jednych i drugich są zwolennicy skrajnych koncepcji. Czy oni jednak wyznaczała kierunek rozwoju myśli politycznej? Wydaje mi się, że nie. Byli przecież wówczas wśród polskich myślicieli i tacy, którzy potrafili widzieć sprawę niepodległości Polski w znacznie szerszym spośób. Ale byli też tacy również w Rosji. Mam tu na myśli Włodzimierza Lenina i jego koncepcję dającej narodom prawa do samookreślenia.

A. F. GRABSKI: — No, właśnie. Lenin przecież znakomicie znał stosunki polskie. I był daleki od dogmatyzmu tych polskich myślicieli, którzy lansowali wyłącznie ideę niepodległościowej w swych programach i daleki od dogmatyzmu tych, którzy lansowali wyłącznie zadań klasowych. A więc można było znaleźć właściwe rozwiązanie.

W. MICHOWICZ: — I znakomicie zdawał sobie sprawę z wielkoruskiego nacjonalizmu.

A. BARSZCZEWSKA: — Być może przedstawiona tu paralela z ruchami wyzwolenczymi świata współczesnego wydaje się ryzykowna i nawet anachroniczna, ale dla naszych rozważań ma ona istotny sens o tyle, że zwraca uwagę na pewną autonomizację internacjonalistycznych poglądów w polskiej myśli socjalistycznej. W czasie I Międzynarodówki Karol Marks zwracał uwagę polskim socjalistom na niebezpieczeństwo pomijania kwestii niepodległości w ich programo-

o samookreśleniu narodów, że nie przywiązali do tego dostatecznie wielkiej wagi, nie wyciągnęli z tego wszystkich możliwych konsekwencji i nie poszli w swoich rozważaniach w kierunku, jaki to hasło wytyczało.

A. F. GRABSKI: — W okresie II Międzynarodówki zakorzenił się pogląd o pewnym automatyzmie procesów społecznych. Ten pogląd znalazł też odbicie w sposobie myślenia wielu działaczy w Polsce. Według takich założeń teoretycznych, jak już jakiś proces społeczny rozpocznie się, to właściwie trzeba tylko czekać na jego dalszy rozwój, bo zmierzają on w określonym kierunku. Takie mniemanie ograniczało świadomość działalności i człowieka i organizacji politycznych. Lenin zresztą zwalczał te poglądy i w sporze z wyznawcami automatyzmu on miał rację co pokazała historia. Ale nim to się stało, te poglądy o automatyzmie procesów społecznych zaważyły w określony sposób i na koncepcji polskiej lewicy rewolucyjnej.

S. BANASIAK: — W tym czasie dokonuje się rozwój myśli marksistowskiej, a jednocześnie jej pewna deformacja. W dziewiętnastowiecznej koncepcji rewolucji społecznej przeważał pogląd, że dokona się ona jednorazowo i ogarnie cały świat. Ale Lenin wysunął teorie, według której musi nastąpić zerwanie najsłabszego ogniwa w łańcuchu państw imperialistycznych i rewolucja socjalistyczna będzie się dokonywała etapami. I Lenin miał rację. Ale również te racje przynależały mu dopiero do historii.

Dlatego — tak rozumując — mam tu pewną obawę, czy istotnie nie wybiegliśmy w naszych rozważaniach

W. MICHOWICZ: — Oczywiście. Nastąpiła też zmiana w orientacji politycznej różnych ugrupowań. Na przykład Narodowa Demokracja z Romanem Dmowskim na czele musiała zrezygnować z wszelkich koncepcji odbudowy państwa polskiego pod rosyjskim patronatem. W miarę upływu czasu działacze endeccy zaczęli orientować się na Francję, a także coraz więcej polskich polityków i działaczy niepodległościowych w swoich poszukiwaniach partnerów do prowadzenia polityki niepodległościowej zaczęło skłaniać się w kierunku monarchii austro-węgierskiej.

A. F. GRABSKI: — Orientacja Romana Dmowskiego na liberalną burżuazję rosyjską, która miała być sojusznikiem w walce Polaków o niepodległość, była zupełną utopią. Co do tego nie mamy chyba wątpliwości. Ale z drugiej strony Józef Piłsudski opierał swoje koncepcje niepodległościowe również na utopijnych zasadach. Zupełnie nie rozumiał Rosji i praktycznie uważał ją za jedynego przeciwnika w walce o niepodległość.

W. MICHOWICZ: — Rząd Tymczasowy w czasie I wojny światowej stał na stanowisku niepodzielnej Rosji. W czasie wojny domowej, po Rewolucji 1917 roku, żadne z białogwardyjskich ugrupowań nie myślało przyznawać Polsce prawa do niepodległości. Co do tego rzeczywiście nie ma wątpliwości. Tak więc orientacja Romana Dmowskiego i endecji była błędna. Natomiast Piłsudski totalnie negował wszystko, co rosyjskie. Stawał znak równości między reżimem carskim, a narodem rosyjskim, nie potrafił dostrzec w społeczeństwie rosyjskim tych sił, które mogłyby być sprzymierzeńcem narodu pol-

RÓŻNE DROGI DO NIEPODLEGŁOŚCI



w przyszłość, czy nie żądamy, aby działacze z końca XIX wieku i z początku XX myśleli w tych kategoriach w jakich my dziś myślimy, mając w świadomości doświadczenia wielu dziesiętności lat.

A. BARSZCZEWSKA: — My nie możemy dziś obwiniać działaczy z tamtego okresu, że nie myśleli tak, jak my dziś myślimy, ale obiektywnie możemy stwierdzić, że takie a nie inne historyczne fakty, takie a nie inne miały skutki. I jest niewątpliwie błędem działaczy ówczesnej lewicy rewolucyjnej w Polsce, że nie potrafili wyraźnie stawiać sprawy niepodległości, stwarzając tym samym grunt dla krytyki jej poglądów i to na bardzo długie lata, a jednocześnie odswalało to od jej programu wielu ludzi, którzy chętnie widzieliby wspólny mianownik w sprawach klasowych i niepodległościowych.

W. MICHOWICZ: — Właśnie, bo jednocześnie obserwujemy inne zjawisko. Otóż wielu działaczy niepodległościowych z Józefem Piłsudskim na czele bardzo cenił sobie doświadczenie socjalistyczne, widzieli w ruchu socjalistycznym środek do pozyskania sobie wpływu w środowiskach robotniczych. Posługują się oni hasłem walki o niepodległość, udrapowanym w hasła klasowe, które pełnią rolę posilkową, a wszystko to robią po to, aby móc zdobywać sobie zwolenników i poparcie robotników.

A. BARSZCZEWSKA: — Bo to jest czas narastającej fali rewolucyjnej, która wybucha w Rosji i Polsce z początkiem 1905 roku. Rewolucja 1905 roku miała wieloraki skutki społeczne i polityczne. Znamy wszyscy dobrze leninowską tezę o tym, że bez tej rewolucji nie byłoby następnej z 1917 roku. Ale przecież rewolucja 1905 roku wywarła też ogromny wpływ na inne ugrupowania polityczne. Właściwie bez uświadomienia sobie roli i wielorakiego znaczenia tej rewolucji trudno jest zrozumieć dalszy rozwój polskiej myśli niepodległościowej, jak też ewolucję niepodległościowych poczynań Polaków.

W. MICHOWICZ: — Oczywiście. Doświadczenia rewolucji 1905 roku pozwoliły wprowadzić do walki wolnościowej w Polsce nowe formy, które tę walkę zdynamizowały.

W czasie rewolucji zostały sprawdzone formy organizacyjne walki konspiracyjnej i zbrojnej. Upadek powstania czerwcowego 1905 roku wykazał niezbicie, że jakikolwiek ruch o charakterze wojskowym bez należytego uzbrojenia i zorganizowania nie ma żadnych szans powodzenia. Rewolucja 1905 roku uświadomiła wagę spraw narodowościowych, gdyż i na ziemiach polskich zaboru rosyjskiego toczyła się ostra walka o polską szkołę. Represje, jakie carat zastosował po rewolucji, przekreśliły właściwie wszelkie kalkulacje na odrodzenie państwa polskiego w ramach imperium rosyjskiego na jakichkolwiek zasadach federacyjnych. Rewolucja ta wzbogaciła doświadczenia Organizacji Bojowej PPS, które to doświadczenia Józef Piłsudski wykorzystał przy organizowaniu Legionów w Galicji.

A. F. GRABSKI: — I dodajmy do tego jeszcze polaryzację, jaka nastąpiła wśród sił społecznych.

skiego w jego walce niepodległościowej.

A. BARSZCZEWSKA: — Obaj mieli utopijne koncepcje, ale rozwój wydarzeń jednego z nich wysunął na czoło. Właśnie Józef Piłsudskiego. Zresztą wybuch I wojny światowej radykalnie zmienił sytuację polityczną na ziemiach polskich. Zmusił zaborców do zajęcia stanowiska wobec przyszłej niepodległości Polski. Inna sprawa, ile było w tym taktiki wobec polskiego społeczeństwa, a ile rzeczywistych zamiarów. Początkowo nikt poważnie tych obietnic nie traktował. Myślę, oczywiście, o ich autorach, chociaż i wielu Polaków było do tych gestów sceptycznie nastawionych.

W. MICHOWICZ: — Wojna między koalicją, w skład której wchodziła Rosja, a państwami centralnymi, do których należały Austro-Węgry musiała objąć ziemię polską. Królestwo Polskie stało się terenem działań wojennych, a później znalazło się pod okupacją niemiecką i austriacką. Nim jednak do tego doszło, w sierpniu 1914 roku wielki książę Mikołaj Mikołajewicz wydał odezwę, w której obiecał Polskę zjednoczoną pod carskim berłem. Chodziło o rekrutę, o przychylność Polaków w tej wojnie. Była to obietnica bez pokrycia.

Jednak w miarę rozwoju wypadków sprawa niepodległości Polski nabiera międzynarodowego znaczenia. Wypowiedzieli się w tej sprawie o bali cesarze: niemiecki Wilhelm II i austriacki Franciszek Józef. W słynnym manifestie z 5 listopada 1916 roku obiecali utworzenie państwa polskiego z ziem zabranych Rosji. Tu już gra była prosta. Chodziło o przyciągnięcie Polaków do wojny po stronie państw centralnych. Rosja i inne państwa koalicji protestowały przeciwko temu. Ale na początku 1917 roku prezydent USA, Woodrow Wilson, stwierdził, że Polska powinna być zjednoczona i niezależna. W dwa miesiące później Rada Delegatów w Piotrogradzie przyznała Polsce prawo do niezależności państwowej. W trzy dni później Rząd Tymczasowy złożył deklarację o możliwości utworzenia państwa polskiego ze wszystkich ziem polskich. Te deklaracje poparł sojuszniczy Rosji. Tylko, że wszystkie ziemie polskie były akurat pod okupacją niemiecką i austriacką. Deklaracja Rządu Tymczasowego nie miała więc żadnego znaczenia, była tylko reakcją na stanowisko Rady Delegatów w Piotrogradzie.

No i nadszedł późniejszy listopad 1918 roku, kiedy powstał rząd w Lublinie, zaczęto rozbrajać Niemców w Warszawie i jak to wówczas się mówiło: „wybuchła niepodległość”. Pojawia się teraz nowe pytanie: jak Polacy skorzystali z tej niepodległości? Ale to osobny temat.

Opracował:
LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Ostatni fragment dyskusji ukaże się za dwa tygodnie.

SPRAWA „MAZOVII”

— Ta cholerna sprawa! — tak mówi dyrektor Zakładów Przemysłu Wełnianego „Mazovia” — ADAM GRUSZCZYŃSKI. Tak mówią inni.

Ta sprawa to fatalna, była że po niżej wszelkich dopuszczalnych norm, warunki pracy 800 ludzi, których to warunków nijak poprawić nie można, pomimo ogromnych wysiłków i starań kierownictwa zakładów, pomimo wielu usiłowań i prób kadry technicznej, zakładowych racjonalizatorów i wszystkich ludzi dobrej woli.

Ta sprawa to bliska perspektywa „przycięcia” aż o 30 proc. wysoko specjalistycznej produkcji, bardzo ważnej, potrzebnej i intratnej, choćby tylko ze względów eksportowych, do czego — z uwagi na dobro interesów społeczno-gospodarczych — absolutnie nie można dopuścić. Ta sprawa to także bardzo kłopotliwy problem dla samego miasta, natury urbanistycznej, komunikacyjno-transportowej, biośrodkowej i in.

Wizytówka

„Mazovia” to jeden z czołowych zakładów Zjednoczenia Przedsiębiorstw Wełniarskich „Północ”. 2.700 osób załogi o najwyższych kwalifikacjach. Pełny, zamknięty cykl produkcji — od surowego włókna do gotowych tkanin. „Mazovia” produkuje tkaniny wełniane, czesankowe i zgrzebne, w proporcjach pół na pół. Rocznie — 5,5 mln mb. tkanin, o wartości ok. 2 mld zł. Specjalność zakładów to tkaniny zgrzebne, płaszczowe, o najwyższym standardzie. W tej produkcji „Mazovia” nie ma konkurentów w kraju.

Na 40 wytwarzanych artykułów aż 15 ma „Jedynkę”. Wiele — znak „Woolmark”. Na 2 artykuły „Mazovia” ma znak najwyższej jakości „Q”, jako jedyne przedsiębiorstwo w całym województwie piotrkowskim. Zaś wprowadzone tu ostatnio do produkcji nowe tkaniny, płaszczowa z wełny angorskiej — „królik” i ubraniowa „adria”, to prawdziwe rewelacje!

„Mazovia” więc mogłaby być chlubą i powodem do dumy swojego miasta, macierzystego zjednoczenia, całej branży, przemysłu i handlu. „Mazovia” mogłaby robić jeszcze większą furorę na wszystkich rynkach i sprzedawać swoich wyrobów znacznie więcej, jako że oferty przekraczają trzykrotnie aktualne możliwości produkcyjne zakładów.

Nic z tego jednak! „Mazovia”, zamiast chluby, jest niezmiennie kłopotliwym problemem dla wszystkich. A jeśli idzie o produkcję, by sprostać popytowi, najprawdopodobniej zmniejszy się niebawem o 30 proc.

Sredni wiek ludzi, obiektów i maszyn w „Mazovii” wynosi ok. 46 lat! Niby nie w tym dziwnego, skoro zakłady przysięgają się właśnie do obchodów 100-lecia istnienia. Ale mimo wszystko ów wskaźnik jest stanowczo zbyt wysoki!

Kontrasty

„Mazovia” to przede wszystkim ogrom kontrastów! Tu najnowsze mieszka się z najstarszym. Obok nowych budynków stoją tak stare, że nie sposób określić ich wieku, ponieważ śladu ich „narodzin” nie udało się znaleźć nawet w archiwach miejskich. Obok najnowocześniejszych

francuskich, czy włoskich maszyn, z datą produkcji 1977, są zabijaki mające po 70, 80 i więcej lat. Niektóre wnętrza hal produkcyjnych są tu takie, że nawet „Ziemi obiecanej” nie dałoby się kręcić, bo przypominają epokę znacznie wcześniejszą. W jednej hali luz, przestrzeń, czyste powietrze, a tuż obok walczą się rudera ze spróchniałej do cna cegły, o dziurawych ścianach, pociętej przedziwnymi uskokami posadzce.

Taka jest właśnie „Mazovia”. Pomieszczenie przemysłowej nowoczesności z niemal średniowieczną manufakturą, najnowszej techniki z reżymem dzielniczym prymitywem. Są tu najnowsze krosna „Mav”, a jednocześnie jeszcze nie tak dawno temu tkaniny spłisniano tu przy pomocy zwyczajnych cepów, jak w średniowieczu!

W wykończalni są najstarsze budynki i urządzenia. Maszyny można by wymienić na nowe, ale nie ma jak, ze względu na fatalny stan budynków. Tu się nie da absolutnie przeprowadzić żadnej modernizacji. Budynki by tego nie wytrzymały i zamiast nowoczesności mielibyśmy tylko kupę zmurszałego gruzu.

Nadmiar problemów

Cały czas przeprowadza się tu modernizację, gdzie tylko i na ile jest to możliwe. Ale te możliwości już się kończą. Maszyny można jeszcze wymienić, ale tu chodzi przede wszystkim o budynki. Wyremontowano i zmodernizowano już wszystko, co się tylko dało, zaś reszta to już wiekowe ruiny nadające się tylko do rychłej rozbiórki.

Zakłady, utworzone z kilku mniejszych przedsiębiorstw, są porozrzucane po mieście. Poszczególne obiekty są odległe od siebie o 0,5 do 1,5 km. To komplikuje produkcję i utrudnia transport wewnątrzzakładowy.

W poszczególnych obiektach są kłopoty z transportem poziomym i pionowym. A to różnice poziomów podłóg, prawie do 1 m w jednej hali, to znów słabe ściany i stropy, uniemożliwiające zainstalowanie wind i dźwigów, a to inne jeszcze trudności. A na dodatek transport między porozrzuconymi po mieście obiektami chcąc nie chcąc musi włączyć się do ruchu ulicznego. Samochody i wózki transportowe muszą wyjeżdżać z bramy zakładu wprost na trasę szybkiego ruchu, bo nie ma innej możliwości. Cudem nie było jeszcze poważnego wypadku, jak na razie. I jak tu myśleć o sprawniej organizacji transportu wewnątrzzakładowego, który przecież jest dla przedsiębiorstwa tym, czym dobrze funkcjonujący krwiociąg dla żywego organizmu...

Wiek i rozproszenie zakładów podciągają za sobą kolejne problemy. Brygady pracowników pomocniczych rozrosły się do wielkich rozmiarów. Trzeba bowiem w każdym z obiektów utrzymywać oddzielne ekipy mechaników, elektryków, konserwatorów. Zamiast jednego nowoczesnego obiektu ciepłowniczego pracują 3 oddzielne kotłownie, zatrudniające w

sezonie 70 pracowników, choć mogłoby ich być kilkakrotnie mniej. Rozbudowany nadmiernie transport wymaga licznej obsługi. A poza tym ciągle sypią się tu mury, to maszyny, tak więc konieczne jest utrzymywanie licznej grupy fachowców od wszelkich napraw. A o ludzi coraz trudniej!

Decyzją wojewody piotrkowskiego cały zakład „B”, gdzie mieści się część farbiarni i wykończalni, jest przeznaczony do likwidacji w 1980 roku, ze względu na bardzo zły stan techniczny budynków, które już się rozsypują. Na ich miejsce nie buduje się na razie nowych obiektów. Wskutek tego „Mazovia” utraci ok. 30 proc. swoich mocy przerobowych, jeśli nie uda się znaleźć odpowiedniego kooperanta. A z tym będzie nie lada kłopot.

„Mazovia” jest rozrzucona w kilku punktach miasta, tym samym zajmując nadmiernie dużą powierzchnię. Gdyby cały zakład był skomasywany w jednym miejscu, wtedy można by oszczędzić prawie 3 ha cennego terenu miejskiego. „Mazovia” uniemożliwia rozbudowę innych przedsiębiorstw. W takiej kłopotliwej sytuacji jest np. tomaszowski „Skogar”, który już się „dusi” na małym skrawku terenu, a o rozbudowie ani myśleć, bo brak miejsca.

Trujące ścieki technologiczne „Mazovii” odprowadza się wprost do rzeki Wolbórki. Buduje się co prawda w pobliżu „Wistomem” dużą oczyszczalnię chemiczno-biologiczną,

budowy, rekonstrukcji, odtworzenia „Mazovii”, programów kompleksowych. Ale jakoś zawsze wypadaliśmy z planów inwestycyjnych. Ostatnio, uwzględniając złożoną sytuację inwestycyjną, opracowaliśmy kolejną koncepcję odbudowy, etapową, by uniknąć przeciążeń inwestycyjnych. Ta koncepcja przewiduje rekonstrukcję zakładów w 3 etapach, do roku 1990, przy jednoczesnym utrzymaniu produkcji. Po jej realizacji znacznie poprawiłyby się u nas warunki pracy. Moglibyśmy też zwiększyć produkcję o 20—25 proc. przy jednoczesnym utrzymaniu obecnego limitu zatrudnienia.

Jakie są przeszkody w realizacji tej koncepcji odbudowy „Mazovii”?

— Nie potrafię udzielić dokładnej odpowiedzi. Nie udaje się nam, pomimo wielu naszych starań na różnych szczeblach w branży, pomimo poparcia i pomocy naszych władz politycznych i administracyjnych. „Mazovia” nie ma szczęścia znaleźć się w planach inwestycyjnych! Dlaczego? My sami nie dostajemy na to pytanie konkretnych odpowiedzi od naszych władz branżowych. A kiedy się za bardzo nalega, naciska, wtedy co najwyżej można usłyszeć w odpowiedzi, że dobre kierownictwo jakoś sobie radzi w każdej sytuacji, że zamiast robić szum należy się wziąć do roboty! Do jakiej? Co tylko było u nas możliwe, to już zrobiliśmy i dalej robimy. Problem jednak w tym, że dochodzimy już do tej bariery, której pokonać nie można. Konieczna

wet zarezerwowany teren na częściową rozbudowę, przy likwidacji starych obiektów, które faktycznie są w nie najlepszym stanie. Ale nie ma jeszcze ani założeń techniczno-ekonomicznych, ani projektu technicznego. Wszystko jest na razie w sferze projektów, szacunkowych koncepcji. W każdym razie to nie są jeszcze projekty do realizacji.

— Sprawa odtworzenia „Mazovii” ciągnie się już wiele lat. Czy wcześniej nie było żadnej koncepcji odbudowy?

— Ja nie pamiętam, żeby wcześniej były jakieś próby. To wszystko powstało na początku lat 70-tych, kiedy był duży rozmach inwestycyjny w przemysle lekkim. W naszych planach branżowych odbudowa tych zakładów mieściła się w latach 1971—75. Ale z uwagi na brak środków i możliwości niemożliwa była realizacja tego tematu. Zamiast tego tam wprowadzono szereg cząstkowych rozwiązań, polegających na modernizacji niektórych oddziałów.

— Obecnie te możliwości prawie się wyczerpały. W „Mazovii” już niewiele można zmodernizować z uwagi na bardzo zły stan techniczny starych budynków. Konieczna stała się inwestycja odtworzeniowa! A jak na razie nie konkretnego w tej sprawie nie zrobiono...

— Proszę pana, niech mnie pan nie uczy co trzeba robić! Ja wiem, co robić!

— A więc?

— No, aktualnie na moje polecenie zakład opracował koncepcję rozwoju przedsiębiorstwa. W tej chwili, po poprawkach i uwagach zespołu opiniotwórczego, nadawany jest temu bieg i może „Mazovia” wejść do następnej pięcioletki, jak się da...

— Czy to jednak nie zbyt późno? W „Mazovii” już w tej chwili są bardzo złe warunki...

— To jest tylko pana opinia! My to traktujemy inaczej. Uważamy, że w „Mazovii” sytuacja jest i tak lukusowa, a po dalszej modernizacji będzie komfort...

— Trudno się z tym zgodzić, choćby z uwagi na to, że w 1980 r. zostaje zamknięty cały zakład „B”, właśnie ze względu na katastrofalne warunki! Daleko więc chyba w „Mazovii” do komfortu?

— Jeszcze raz powtarzam, że to tylko pana opinia! No i co z tego, że zamknięcie się zakład „B”? Z produkcją się jakoś załatwi, choćby rozwinięty kooperację z „Wistomem”, czy innymi zakładami...

— To jest rozwiązanie tymczasowe...

— A czy pan widział przemysł bez kooperacji?

— Ale tu nie o to chodzi...

— Proszę pana, dlaczego pan nas tak atakuje z tą „Mazovią”? Już mówię, że zakład chcemy wprowadzić do planów w następnej pięcioletce...

— A co teraz? Jak ma sobie radzić zakład z wykonaniem planów, z produkcją w takich warunkach, za nim za ileś tam lat dojdzie wreszcie do odbudowy?

— Dobry dyrektor radzi sobie w każdych warunkach, wszystko potrafi załatwić, a jak nie, to znaczy że się nie nadaje na to stanowisko...

— Odbiegamy od tematu...

— To też jest temat...

— W takim razie co pan może załatwić dla „Mazovii” już teraz?

— To też jest inny temat. Proszę pana, ja proponuję zakończyć rozmowę! Cieszę się tylko, że „Mazovia” znalazła w prasie takiego oredownika! Może to pomoże coś załatwić.

— Konkretne kiedy?

— Już mówiłem, że najwcześniej w następnej pięcioletce.

— A co proponujecie do tego czasu? Sytuacja w „Mazovii” już dzisiaj wymaga...

— Proszę pana, co się pan tak uczeplił tej „Mazovii”? Ja mogłbym panu dużo o tej całej sprawie powiedzieć, ale to poza protokołem, a nie do publikacji...

— Dlaczego?



Foto. W. Parys

kłopoty ma służyć całemu miastu. Ścieki ze wszystkich zakładów mają być zbierane do jednego kolektora i kierowane do tej nowej oczyszczalni. Ale starych obiektów „Mazovii” nie da się podłączyć do tego systemu. Tak więc kroi się paradoksalna sytuacja. Będzie w Tomaszowie wielka, nowoczesna oczyszczalnia, a jednocześnie ścieki z „Mazovii” nadal będą zatruwać Wolbórkę, atmosferę i życie tomaszowian!

Co robić?

Od r. 1970 począwszy — mówi dyrektor Adam Gruszczyński — opracowaliśmy kilka już programów od-

budowy, rekonstrukcji, odtworzenia „Mazovii”, programów kompleksowych. Ale jakoś zawsze wypadaliśmy z planów inwestycyjnych. Ostatnio, uwzględniając złożoną sytuację inwestycyjną, opracowaliśmy kolejną koncepcję odbudowy, etapową, by uniknąć przeciążeń inwestycyjnych. Ta koncepcja przewiduje rekonstrukcję zakładów w 3 etapach, do roku 1990, przy jednoczesnym utrzymaniu produkcji. Po jej realizacji znacznie poprawiłyby się u nas warunki pracy. Moglibyśmy też zwiększyć produkcję o 20—25 proc. przy jednoczesnym utrzymaniu obecnego limitu zatrudnienia.

Gdzie ten komfort?

W Zjednoczeniu Przedsiębiorstw Wełniarskich „Północ” przyjął mnie nie bez pewnych oporów, dyr. nac. Zdzisław Zaorski:

— Owszem — powiedział — sprawa „Mazovii” jest nam dobrze znana. Jest postulat zgłaszany już od 10 lat przez przemysł, przez branżę, żeby te zakłady przede wszystkim modernizować, a w miarę możliwości nawet odtwarzać. Tam już jest na-

była miejscem właściwie do tego przystosowanym, a także by była prezentacją dobrej sztuki! Patologia jest dziś działaniem bez wyobraźni. Realia życia tzw. obiektywne warunki zmuszają nas niekiedy do wielu wyrzeczeń i kompromisów w efekcie czego nasze intencje i ambitne zamierzenia sprowadzają się do pustej frazeologii. Nie czując się odpowiedzialnym i kompetentnym w sprawach miejskiej przestrzeni wypada przy tej okazji wspomnieć, że Śródmieście jest jednym wielkim placem budów i trudno jest w tej chwili cokolwiek przesądzić, a już na pewno uzyskać pacyt na inną lokalizację galerii. Dla przykładu podajemy, że przebudowę ul. Aleja Schillera.

Problem Galerii Rzeźby był wielokrotnie dyskutowany w Wydziale Kultury i Sztuki. W wyniku dyskusji i konsultacji opracowane zostały założenia programowe galerii i wytyczne do projektu jej przestrzennego zagospodarowania. A oto niektóre tylko założenia tego programu:

— galeria powinna być wkomponowana w zespół kamienic ul. Piotrkowskiej, kawiarnię i dotychczas istniejącą zielen.

— galeria będzie akcentem architektonicznym tej części centrum miasta,

— galeria pozostanie rotacyjna, ekspozycyjna, pełny zestaw prac w ciągu całego roku. Zmiana rocznej ekspozycji powinna nastąpić w

ciągu jednego miesiąca, przy czym miesiąc mają być każdorazowo inaugurują prezentację nowych prac.

— galeria będzie prezentacją prac na dobrym poziomie artystycznym.

W oparciu o wyżej wymienione wytyczne Biuro Projektów Budownictwa Komunalnego przystąpiło do opracowania projektu zagospodarowania architektoniczno-przestrzennego galerii, który to projekt należy bezwzględnie realizować.

KRYSZYNA
POTOCKA-SUWALSKA
(Wydział Kultury i Sztuki)

**JEST
TAKA SZKOŁA**

Mineło piętnaście lat od chwili kiedy na posiedzeniu Rady Pedagogicznej Zespołu Szkół Włókienniczych nr 1, Technikum Włókiennicze i Liceum, stanowiące filar szkoły otrzymało niezwykłą patronkę. Jest nią pierwsza kobieta kosmonauta, włókiennica Walentyna Terleszkowa. O szkołach pisze się z okazji świąt oraz mniejszych lub większych rocznic. Ta rocznica 15-lecia nadania szkoły przy ulicy Żeromskiego 115 i-

mienia, nie jest może najważniejszą, gdyż w przyszłym roku szkoła obchodzić będzie sześćdziesięciolecie istnienia w Polsce. Niepodległość. Na pewno jednak zasługuje na uwagę i zainteresowanie rodziców, a najbardziej rodziców, że wszystkie szkoły w mieście.

Tysiące absolwentów, całe rzesze młodszych i starszych pracowników nauki i przemysłu pamiętają o swojej szkole. Jej położenie w najpiękniejszym parku Łodzi nie może ująć uwagę nawet tych którzy są tu przejadem.

Szkola solidna i piękna na zewnątrz i od wewnątrz latami starała się być nowoczesna. Kształciła młodzież i dorosłych dając wszystkim możliwość zdobycia średniego wykształcenia technicznego w zawodach: przedziałnik, tkacz, dzwierzarz, farbiarz lub konserwatora wyrobów włókienniczych. W szkole w godzinach rannych uczy się młodzież, która nie pracuje, natomiast w godzinach popołudniowych uzupełniają wykształcenie dorośli. Technikum i Zasadnicze Studium Zawodowe umożliwiają zdobycie dyplomu technika w okresie trzech lub dwóch lat. Poza tym w szkole kończą szkołę podstawową i jednocześnie zdobywają zawód uczniowie Szkoły Przysooblenia Zawodowego.

Szkola posiada Internet, bufet, stołówkę, dwie sale gimnastyczne i pięknie położone w środku parku boisko sportowe. Lekcja odby-

LISTY DO REDAKCJI

JESZCZE O PASAŻU ZMP

Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi pragnie ustosunkować się do niektórych uwag zawartych w 37 numerze „Ogłoszeń”.

Cieszą nas wszelkie głosy w dyskusji o kształcie i formacie łódzkiej kultury i sztuki, tym bardziej jeśli są konstruktywne i wnoszą nowe, inspirujące nas akcenty. Trudno nie zgodzić się z głosem autorów cytowanego artykułu. Pasaż ZMP istotnie wymaga generalnego uporządkowania. Jest on obszarem oddziaływania i wpływu wielu instytucji komunalnych, stąd bardzo często sprzeczność interesów, a także i brak bezpośredniego zainteresowania i odpowiedzialności.

Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi jest żywotnie zainteresowany uporządkowaniem pasażu m. in. dlatego, że tu została zlokalizowana Łódzka Galeria Rzeźby będąca w administracji Biura Wystaw Artystycznych.

Nie odmawiając autorowi służby w wielu poruszonych sprawach, z niektórymi odnoszącymi się do samej galerii można jednak polemizować. I tak np. jeśli cho-

dzi o formacie galerii, zmianę lokalizacji, funkcję galerii, warunki i sposoby upowszechniania sztuki. Galeria elbiaska była nowym w latach 80-tych — u zarania swego powstania. Jest istotnie orygi-nalnym inicjatyw twórczych i przedsięwzięcie organizacyjnych. Jednak same formy i ich technologia uległy próbie czasu spotykając się z ostrą krytyką społeczną. „Stabilne” używając terminologii A. Caldera byłyby zbyt agresywne dla architektury i przestrzeni tego pasażu. Pierwszą próbę prezentacji takich form stworzył łódzki artystom plener rzeźbiarski w „Elcie”, udowadniając jednocześnie kosztowność i niepożycność takiego przedsięwzięcia.

Atrakcyjność jeśli można użyć takiego określenia Łódzkiej Galerii Rzeźby tkwi właśnie w centralnej lokalizacji, a także w zmienności i rotacyjności prezentacji, w tym, że jest otwarta oferta sprzedaży dla wszystkich zainteresowanych. A tych zainteresowanych jest coraz więcej dzięki czemu niektóre niste miejsca w parkach i osiedlach stały się tak potrzebne nam wszystkim prze-ciwstawia nam niakosie i tandetę współczesnej architektury i urbanistyki. Rzecz jednak w tym by zlokalizowana w pasażu galeria

mgr ELŻBIETA KOWALSKA
(od 11 lat nauczycielka w technikum)

RUGOWANIE WSTECZNOŚCI

Rozmowa z inż. JERZYM CZACKIM,
dyrektorem Wojewódzkiego Ośrodka
Postępu Rolniczego w Bratoszewicach



Foto. W. Parys

ODGŁOSY: — Bliskość miasta winna sprzyjać stosunkowo szybkiemu docieraniu na wieś wszelkich nowinek rolniczych. Tymczasem były powiat łódzki, z którego w głównej mierze powstało województwo miejskie, był terenem rolniczo zaniedbanym, o bardzo niskiej kulturze agrarnej. Jeśli wziąć pod uwagę słabe gleby oraz, m. in., nadmierne rozdrobnienie w gospodarce indywidualnej, w której posiadaniu jest 91,4 proc. użytków rolnych, to wydaje się, iż rola Wojewódzkiego Ośrodka Postępu Rolniczego jest tutaj ogromna.

JERZY CZACKI: — Na pewno! Ale problem zaniedbań, niedoinwestowania i niskiego stopnia kultury agrarnej nie dotyczy wyłącznie województwa miejskiego.

— Chodzi o to, że zapominając o rolnictwie, postawiliśmy na przemysł, aby szybko stworzyć kraj przemysłowo-rolniczy?

— Bez przemysłu nie ma nowoczesnego rolnictwa. Jednakże tworząc kraj przemysłowo-rolniczy należało pamiętać o zachowaniu pewnych proporcji. Problem wyżywienia narodu zaczęto dostrzegać dopiero pod koniec lat sześćdziesiątych. A co się tyczy byłego województwa łódzkiego, to faktycznie, zwracano uwagę na tereny o specyficznym mikroklimacie, takie jak Łęczyca, Skierniewice czy Sieradzkie. Tam sły dotacje, inwestycje, mechanizacja, rolnictwo zaś — w aglomeracji łódzkiej nie zauważano. No i zostaliśmy samodzielną nie do pozazdroszczenia. Bo pan pamięta, że w myśl zasady „wszystko dla przemysłu” nastąpiła ogromna migracja ze wsi do miast. Łódź nie wchłonęła wszystkich chętnych do zamieszkania, ale mamy za to w aglomeracji znaczny odsetek ludności dwuzawodowej...

— Najpierw zadaniem naczelnym było zlikwidowanie kulaka, później zaczęto myśleć o likwidacji chłopów-robotników. Czy to słuszne i sprawiedliwe?

— Ziemia powinna należeć do tych, którzy najlepiej produkują. Nie może być różnicy, czy to jest PGR, SKR, RSP czy rolnik indywidualny, bo w rolnictwie nie decyduje nazwa producenta, lecz rachunek ekonomiczny. W rodzinach i gospodarstwach dwuzawodowych tkwią na przykład znaczne rezerwy siły roboczej niezbędne do prowadzenia pracochłonnych kultur, chociażby upraw warzyw i jagodowych. Chodzi o to, żeby te rezerwy zaktywizować i w pełni wykorzystać. Czy to jest możliwe? W Austrii dwuzawodowość istnieje tak jak u nas, lecz nie istnieje „problem” dwuzawodowych, bo oni dają produkcję wielkotowarową...

— Na dwóch lub trzech hektarach?

— Oczywiście!

— Nie wiem, jak to robią, ale jeśli osiągną rzeczywiście dobre wyniki, to czy nie można tego przykładu przenieść na nasz grunt?

— Można! Ale pamiętając, że aby osiągnąć intensyfikację produkcji z jednego hektara niezbędna jest intensyfikacja środków dla producenta właściciela tego hektara. Chodzi o zwiększenie usług i dobre zaopatrzenie w drobny sprzęt, o troskę i pomoc ze strony SKR i spółdzielczości ogrodniczej. Przecież właściciel małego gospodarstwa nie kupi nawet małego traktora, bo jest to dlań nierentowne. Może warto pomyśleć o wspólnym sprzęcie dla wsi lub zespołu? Nie bójmy się tego! Gdybyśmy usprawnili odbiór produktów i usług, nie byłoby problemu dwuzawodowości. A jakież kapitałowe „naciąganie” ma aktywizacja kobiet w rodzinach dwuzawodowych. One decydują o wszystkim i my doceniamy ich rolę, bo podnoszenie kultury na wsi zależy głównie od nich. I dlatego, ponieważ w sklepie nie wiemy, jak się obchodzić ze sprzętem gospodarstwa domowego, my pokazujemy kobietom, co można zrobić, dla przykładu, na mikserze. Albo demonstrujemy taki temat: „Potrawy z drobiu w żywieniu rodziny wiejskiej”...

— Wydawało mi się, że trochę odbiegliśmy od tematu...

— Ale wróćmy, prawda?

— Tak. Tylko gnębi mnie myśl, że mamy już mikser „pod strzechą”, a tymczasem w danych statystycznych stoi jak wół, że zaledwie 20 proc. producentów rolnych w województwie miejskim posiada odpowiednie kwalifikacje.

— Pan chce dowiedzieć, że WOPR nie da sobie z tym wszystkim rady?

— Pragnę podkreślić, że czeka Pana trudne zadanie. Zanim jednak przedstawi Pan działalność WOPR, chciałbym zapytać, co powinno decy-

dować w podnoszeniu kultury agrarnej na łódzkiej wsi?

— Istnieją trzy problemy, które należy rozwiązać kompleksowo, ponieważ podejmowane osobno nie spełniają swej funkcji społecznej. Są to: sprawy poziomu zawodowego rolników i kadry służby rolniej, właściwie pełne zaopatrzenie w maszyny i środki produkcji, oraz usługi wykonywane nie tylko przez SKR. Oświata winna wyprzedzać środki produkcji, ale nie za bardzo.

— Nauczyciele robić kieszonki i korzystać z folii, a za rok folii nie ma.

— Dwa lata temu upowszechniliśmy uprawę kukurydzy na kieszonki. W Bratoszewicach zaczęły gromadzić się kolejki rolników, którzy mówili: „Jak nas nauczyciele, to dajcie silosokombajny i maszyny do sprzętu zielonok”. I dlatego właśnie te sprawy należy rozwiązywać kompleksowo. Jeśli nauczymy to musimy zapewnić efektywne wykorzystanie środków produkcji.

— Wspominał pan o usługach. W geosach wciąż widać długie kolejki. Chciałoby po węgiel lub nawozy.

— Strata czasu! W napiętym okresie zżniw rolnik wiezie zboże i zeka godzinami na rozładunek. Jest jedno wyjście: dostarczenie środków produkcji i maszyn do zagrody i odbiór stamtąd produktów rolnych.

— Ostatnio w Rzgowie odsyłano rolników z wozami zakontraktowanych ziemniaków do domu. Wydaje się, że w ramach kontraktacji strona uprzywilejowana i bezkarna jest zamawiająca. To wzbudza rozgoryczenie i złe nastroje.

— Obie strony powinny mieć jednakowe obowiązki. Obie strony muszą, a nie tylko mogą, bo wtedy powstaje bałagan. Jest umowa na ogródki jadalne, takie więc plantator musi zasilać i dostarczać a zamawiający odebrać. Nie może być tak, że najpierw idzie propaganda czegoś, a potem mówi się: „tego nie stosuj”. Zachwalano kombajny, ludzie byli do nich krytycznie ustosunkowani. Teraz jest run na kombajny i są pretensje, że chłop nie bierze kosy.

— Panie dyrektorze, jest taka dziwna sprawa. Ziemi nam ubywa, a jednocześnie grozi nam „kleski” urodzaju i z tej okazji winduje się ceny.

— Ziemniaków nie zabierają, gdyż gniją w kopcach, a za mało jest maszyn do parowania. Jest duży wysyp ogórków gorszej jakości, z których można zrobić np. sałatki. Powinno się ich kupić od producenta po niższej cenie. Wszystkie! Mamy „rodzaj pomidorów”. Przemysł przetwor-

czy powinien pracować na trzy zmiany i robić zapasy na lata chłodu. Wtedy unikamy windowania cen. W tym roku z nadmiaru ziemniaków można zrobić zapasy płatków, spirytusu i krochmalu. Ale najpierw trzeba rozwinąć przetwórstwo i przechwalnictwo. Kleska urodzaju to bzdurne określenie. Są lata urodzaju, które powinien regulować przemysł przetwórczy.

— Mówimy o sprawach generalnych, dotyczących postępu w rolnictwie. Przejdźmy na Pańskie podwórko: WOPR to jest poligon doświadczalny?

— To jest ośrodek, w którym na własnych polach doświadczalnych jak i w sieci gospodarstw wdrożeniowych sprawdzają się w skali produkcyjnej (1:1) przydatność wyników naukowych osiągniętych w instytucjach i wyższych uczelniach. Potem następuje proces upowszechniania poprzez służbę rolną, którą szkoli się bezpośrednio w zakładzie i na seminariach w terenie. Pod naszym nadzorem szkoli się także obsługa rolnictwa, np. kombajnistów i omłotowych. Również naszym udziałem jest organizacja i nadzorowanie oświaty pozaszkolnej na wsiach. Ważną rolę odgrywają pokazy, wystawy i demonstracje, zarówno w zakładzie jak i w gospodarstwach chłopskich. Zagęszczony lub rozrzedzony siew pszenicy, kisznie ziemniaków, traw itp.

— Przychodził agronom do rolnika i gorąco namawiał do zakupu znacznej ilości owiec hodowlanych. Rolnik ulegał i dopiero po czasie dowiadywał się o... innych rolników, że te owce są szalenie drogie i że nie wystarczy mu paszy na ich wyкарmienie.

— Z tym właśnie walczyliśmy! Organizacja gospodarstwa specjalistycznego uzależniona jest od warunków glebowych produkcji pasz itp. Trzeba sprawdzić, czy założenia odpowiadają kryteriom i ekonomicznym możliwościom gospodarstwa. Bez naszej zgody naczelnik nie może wydać karty gospodarstwa specjalistycznego.

— Sieradz powołał własny WOPR, ale praktycznie działalność Bratoszewice obejmuje teren czterech województw: łódzkiego, skierniewickiego, Piotrkowskiego i sieradzkiego. W najmniejszym, łódzkim, tworzy się tzw. pierścień mleczny. Tymczasem z paszami tutaj nieć, np. z 1 ha łąk zbiera się zaledwie 60 q siana.

— Dlatego jak najszybciej trzeba uregulować stosunki wodne i przeprowadzić meliorację. Półki co upowszechniamy nowe gatunki traw. Przyjęła się już stoklosa unioloświat, która w czystym siewie lub razem z kunkówką daje w trzech pokosach 100 q siana z hektara. Zamiast żyta i owsa propagujemy siew gatunków intensywnych: pszenicy, jęczmienia i mieszanek zbożowych. Musimy uświadomić rolnikom, że zboża kwalifikowane muszą być droższe, ale to procentuje później w plonach. Dziś nie żniwa jednak są problemem, lecz zbiór zielonok. Wysokich traw nie skosi się kosiarką tradycyjną, potrzebne są kosiarki rotacyjne. Odczuwa się brak przetrząsaczy do siana i wozów zbierających.

— Troszczycie się o rozwój bazy paszowej. Co w tym aspekcie sądzi Pan o osiągnięciu inż. Stanisława Frontczaka?

— Do sprawy mieszanki torfowo-roślinnej podeszliśmy z całą powagą, bo gra naprawdę jest warta świeczki. Przywieźliśmy 3 tony torfu, wsiadaliśmy mieszanki, zebraliśmy plon i zrobiliśmy susz. Nawiązaliśmy kontakt z Instytutem Zootechniki w Krakowie, aby pomogli nam w dopracowaniu instrukcji prowadzenia dalszych doświadczeń i analiz. Wstępne anali-

zy są pozytywne, ale trzeba jeszcze przebadać, czy mieszanka „TR” nie spowoduje w organizmach zwierząt jakichś ubocznych skutków. To, niestety, potrwa ponad rok...

— Czy Pan jest zadowolony ze sposobu wprowadzania nowoczesności na wsi?

— Służba rolna za bardzo zajmuje się administracją, mniej czasu poświęcając na porady. A samymi zarządzeniami nie nie zrobimy. Polecenie wydane przez naczelnika to nie wszystko...

— Ale służba rolna nie przeszkadza wkraczaniu postępu na wieś.

— Utrudnieniem jest niedostateczny napływ lub wręcz brak środków produkcji. Wspominałem o folii, a w ubiegłym roku brakowało nawozów azotowych. Albo jak rolnik ma wychować 50 prosiąt, jeśli nie dostanie mieszanki „P”?

— Czy zdarzyło się Panu odrzucić coś z nowości, które znalazły się na waszych polach doświadczalnych.

— Maszyny, przy dobrej konserwacji, są raczej niezłe. Słabe są tylko części gumowe. Nie zawsze potrzebne są drobne usprawnienia, jakieś nowe śrubki, frezy. Z tego rodzaju się potem kłopoty z częściami zamiennymi. Części powinny być proste, bo maszyn nie obsługują technolodzy, tylko rolnicy. Kilka lat temu odrzuciłem dmuchawę do ziarna.

— Krąży opinia, że takie placówki jak WOPR są deficytowe.

— No, na wdrożenia otrzymuję środki finansowe. Ale przy WOPR musi być gospodarstwo rolne. Jak się chce kogoś uczyć, trzeba mieć odpowiednią produkcję. Gospodarstwo istnieje na prawach pegeerowskich i tak jest płatny dyrektor.

— Nasuwa się takie telewizyjne pytanie...

— Czy wziąłbym to w agencję? Wziąłbym! Przy zachowaniu dotychczasowych przywilejów. I zmniejszyłbym administrację, zatrzymując na pewno buchaltera, bo księgi kasową trzeba prowadzić w każdym gospodarstwie.

— Dyrektorzy mają jakieś marzenia lub życzenia?

— Marzenia i życzenia wynikają z celu naszej działalności. Żeby rolnictwo było nowoczesne, miało potrzebne środki i odpowiedni poziom zawodowy. Postęp biologiczny i techniczny będzie wprowadzał wciąż nowe rozwiązania, toteż każde zatrzymanie się w rozwoju jest krokiem do tyłu...

— Czy w postępie w rolnictwie istnieje jakaś górna granica?

— Nikt nie wie, kiedy kończy się postęp. Kiedyś uważano, że górna granicą będzie osiągnięcie 30 q zół z hektara. Dzisiaj mamy już specjalny „klub” osiągniętych plonów powyżej 50 q z hektara. Ale to zależy jednak od warunków glebowych i klimatycznych. Bo mogą być maszyny i nawozy, lecz nie się nie zbierze, jeśli nie będzie stośca lub wody. W rolnictwie pracuje się na żywym organizmie. Dlatego chyba praca jest tak ciekawa, ważna i odpowiedzialna.

Rozmawiał:
RYSZARD BINKOWSKI

DWA JUBILEUSZE

1.

Zjednoczenie Przemysłu Organicznego „Organika” w Warszawie wśród wielu podporządkowanych sobie przedsiębiorstw ma również łódzką „Organikę Chemikolor”. Zajmuje się ono rozprowadzaniem artykułów produkowanych przez zakłady tego Zjednoczenia oraz innych producentów krajowych, a także dodatkowo prowadzi dystrybucję artykułów importowanych.

Długo by wymieniał cały asortyment towarowy którym obraca „Chemikolor”. Są to m. in. barwniki, chemiczne środki pomocnicze, chemikalia organiczne, pianki poliuretanowe, żywice poliestrowe i epoksydowe, kleje syntetyczne i naturalne, pestycydy, a nawet artykuły fotochemiczne czy produkty aerozolowe dla potrzeb motoryzacji i gospodarstwa domowego.

Rok 1977 zamknął się dla „Chemikoloru” ogólną sumą obrotów prawie 30 mld zł, a ilość produktów w obrocie osiągnęła 11 tysięcy. W roku 1958 — pierwszym dla przedsiębiorstwa w tej postaci — wartość obrotu wynosiła niespełna 2,5 mld zł, a ilość artykułów w obrocie ledwo przekroczyła dwa tysiące.

2.

Od roku 1960 — czyli od ponad 18 lat — funkcję dyrektora pełni mgr Henryk Sokół. Tak się akurat złożyło: — a nikt tego nie mógł wcześniej przewidzieć — że w jubileuszowym roku istnienia przedsiębiorstwa jego dyrektor obchodzić będzie 40-lecie pracy zawodowej.

Jest łódzianinem. Jeszcze przed wojną na trochę wyemigrował do Krakowa. Wrócił po kilku latach, z dyplomem Uniwersytetu Jagiellońskiego.

skiego w kieszeni. Powołano go wtedy do wojska. Po wojsku wrócił do Łodzi i od roku 1938 zaczął pracę w Magistracie.

W czasie okupacji był księgowym firmy skupującej wszelkiego rodzaju odpady. Później pracował u fotografa. Aresztowany, przesiedział jakiś czas w więzieniu przy ul. Sterlinga, a później trafił do Mauthausen.

Powrócił do kraju. Po raz czwarty do Łodzi. Kilka lat trwały leczenia, operacje, sanatoria. Kiedy poruszał się już zdrowy, przystąpił do pracy.

3.

Wędrując po piętach „Chemikoloru”, w każdym pomieszczeniu można znaleźć coś interesującego. W zakładowym laboratorium wstępnie bada się sprowadzane materiały, poznaje ich właściwości. Pokazano mi zamknięte naczynie, w którym przez wiele godzin „kapla się” dwie próbki tkanin. Płynem używanym do kapla-ki okazał się... pot ludzki. Oczywiście uzyskany chemicznie. Po co to wszystko? Sprawdzają się w ten sposób odporność pewnych barwników,

które mają być zastosowane w przemyśle lekkim. Test może wykazać słabe punkty barwnika, jego niską odporność na ścieranie, prasowanie itp.

Jak mi powiedziano, specjalna komórka musi przewidzieć, jakie choroby będą ewentualnie pustoszyły zbiory w roku... 1995. To nie dowcip. Odpowiednia znajomość pewnych zjawisk i odpowiednia ich interpretacja pozwala przewidywać. Specjalnie ustawiona produkcja środków zwalczających uratowała już niejedną zbiorę. Aż trudno uwierzyć, że w ciągu jednego tylko roku straty spowodowane przez szkodniki, choroby i chwasty mogą sięgnąć jednej trzeciej globalnych zbiorów wszystkich roślin uprawnych — jeśli nie prowadzi się intensywnego zwalczania. Gra warta jest więc nie tylko przysłowiowej świeczki.

Kto korzysta z tych środków? Rolnictwo, działkowicze, leśnicy, stacje sanitarno-epidemiologiczne, przemysł spożywczy a nawet resort komunikacji. Ci ostatni z powodzeniem stosują np. środki chwastobójcze, dzięki

którym torowiska i pobocza dróg nie zarastają szybko chwastami.

Ma „Chemikolor” także coś na kształt koloroteki. W jednym pomieszczeniu zgromadzono próbki artykułów, które kiedykolwiek przewinęły się przez jego laboratorium. Każda z nich opisana dokładnie, skatalogowana i opatrzona numerem. Przy ustalaniu zamówienia można od razu sprawdzić ogólne właściwości preparatu, można też — po uprzednim wielokrotnym badaniu — zaproponować zastępczy środek produkcji krajowej. Oszczędzić się w ten sposób cenne dla kraju dewizy — realizując przy okazji właściwie rozumianą politykę antyimportową. I kto by pomyślał, że „Chemikolor” takimi sprawami też się zajmuje. A wracając do owej koloroteki: idąc wzdłuż wielu regałów, przesuwając się coraz bardziej w głąb hali i patrząc na tysiące rozmaitych butelek, pojemników, puszek, flakoników i pudełek — na samym końcu spotkać można liczącą przekraczającą 25 tysięcy!

SLAWOMIR DARZYCKI

nym, sporego dystansu. Jaki dzielił pod tym względem Łódź od innych dużych ośrodków miejskich w kraju, w okresie tuż powojennym. Liczby te trzeba pamiętać, trzeba je zwłaszcza przypominać młodemu pokoleniu, któremu z pewnością trudno sobie wyobrazić sytuację sprzed lat, gdy wznosiła się w całym odmiennych warunkach. A jednak w 1945 roku tylko 4 proc. ludności w miastach naszego województwa korzystało z sieci wodociągowej i kanalizacyjnej, a 15 proc. z sieci gazowej. W końcu br. wskaźniki te analogicznie wynoszą: wodociąg — 85 proc., kanalizacja — 79 proc., gaz — 68 proc. Udział mieszkań jednoizbowych zmniejszył się z 50 proc. w roku 1945 do ok. 19 proc. Zaleszczenie na jedną izbę zmniejszyło się prawie o połowę, do 1,01 osoby na izbę w Łodzi i 1,04 na terenie województwa. Pamiętać również trzeba, że stan techniczny budynków z okresu przedwojennego, a także jeszcze starszych, był bardzo różnorodny. Wiele budynków już nie nadawało się do modernizacji, i remontów i zostały wyburzone, nadal po części jest kłopotliwa sytuacja przeszłości. Niemniej problem jest ważny jako uzupełnienie substancji mieszkaniowej, także w sensie ilościowym. W latach 1976–78 modernizacja obiektu 165 budynków o 2,050 mieszkań, w latach 1979–80 zostanie zmodernizowanych mniej więcej tyle samo mieszkań, a na lata 1981–85 przewiduje się potrójnie tej liczby. Renowacja starych zasobów mieszkaniowych, musi iść w parze z poszanowaniem tego, co w okresie powojennym wybudowaliśmy. Lata mijają i nowe zasoby także muszą być poprzez właściwą konserwację i remonty zabezpieczające, chronione przed technicznym zużyciem. Po odliczeniu ubytków na koniec roku 1980 liczba mieszkań w województwie osiągnie poziom 419 tysięcy, a w Łodzi — 320 tys. Dzięki temu znacznej poprawie ulegnie sytuacja mieszkaniowa ludności. Nadal jednak liczba oczekujących na mieszkanie będzie znaczna — obecnie w Województwie Łódzkim Mieszkańców jest zarejestrowanych przeszło 78 tys. osób. (Do omówienia tej sprawy powróćmy później). Zestawienie potrzeb, prognoz demograficznych — w konfrontacji z programem budownictwa na przyszłe lata pozwalała stwierdzić, że „radykalna poprawa sytuacji mieszkaniowej przyniesie realizacja następnego planu 5-letniego budownictwa mieszkaniowego.” Zakończenia na lata 1981–85 przewidują wybudowanie 79,900 nowych mieszkań, w tym w Łodzi — 59,700. Tym samym zostaną stworzone warunki dla znacznego skrócenia okresu oczekiwania na przysiad własnego mieszkania w dobrym stanie technicznym i wyposażonego we wszystkie podstawowe urządzenia. To optymistyczna ale realna prognoza na najbliższą przyszłość. Wróćmy zatem do dnia dzisiejszego, rozpoczynając od przypomnienia

zakończenia planu 5-letniego na lata 1976-80

którego najważniejszą dyrektywą było wybudowanie 64 tys. mieszkań (3,4 mln m kw. pow. użytkowej), co oznaczało ponad 30-procentowy wzrost do rezultatów osiągniętych w latach 1971–75. Z wymienionych wyżej zadań do realizacji na terenie Łodzi przewidziano 75 proc. przy znacznie mniejszym tempie wzrostu (23 proc. w porównaniu do ub. pięcioletki) niż w pozostałych miastach (średnio ok. 54 proc.), co miało na celu wyrównanie różnic w sytuacji mieszkaniowej Łodzi i pozostałych miast województwa. Realizacja programu pozwoli uzyskać odczuwalną poprawę warunków mieszkaniowych społeczeństwa. Na wyraz tego przytoczę trzy istotne wskaźniki. Zwiększy się powierzchnia użytkowa na 1 osobę o 2 m kw. (z 14,4 do 16,4 m kw. na osobę w województwie i analogicznie o 2,3 m kw. więcej w Łodzi). Zaleszczenie na 1 izbę zmniejszy się do 0,98 osoby w woj. i 0,96 w Łodzi. Udział wybudowanych po wojnie mieszkań zwiększy się o 10 proc. (do ok. 60 proc.).

Równoległe ze wzrostem zadań ilościowych założono w planie dalsze podniesienie standardu budowanych mieszkań, poprawę funkcjonalności osiedli itp. Takie zadania postawiono przed projektantami uzbiorowym w powiększone normatywy urbanistyczne. Pozwoliło to na dłuższą zabudowę osiedli, powiększenie terenów zielonych, rekreacyjnych, wydzielenie parkingów. Weliminowano lub ograniczono przestarzałe technologie z myślą o budowaniu mieszkań większych i bardziej funkcjonalnych, o szerszym zakresie wyposażenia technicznego. Dodatkowo, do planów opracowanych wprowadzono budowę mieszkań rotacyjnych dla młodych małżeństw i domów dla starszych osób samotnych. Plan zakładał, że 55 proc. budownictwa mieszkaniowego zostanie zlokalizowane w istniejących już osiedlach jak Teofilów, Stefana, Żubardz, Dąbrowa, Kurak, Retkinia, Wdług-Wschód. Nowe osiedla to Radogosz i Chojn-Zatorze w Łodzi, osiedle „Parzeczeńska” w Ozorkowie,

Kurak II w Zgierz i Bugaj w Pabianicach.

Plan budownictwa mieszkaniowego na bieżącą pięcioletkę uzupełnia program budownictwa towarzyszącego. Przewiduje on realizację ok. 150 tys. m kw. powierzchni na tzw. urządzenia handlowo-usługowe, a także oddanie do użytku w nowych osiedlach 12 szkół podstawowych, 11 przedszkoli i 13 żłobków. Założenia przewidywały również uzbiorzenie terenów pod budownictwo w infrastrukturę techniczną, lecz niedostateczny potencjał w zakresie robót inżynierskich nie pozwolił na konieczne wyprzedzenie robót kubaturowych. Rozwiązanie tego problemu siła rzeczy przesunie się na lata 1979–80. Ta dysgresja uzasadnia zasadnicze rozliczenie i ocenę

realizacji planu budownictwa mieszkaniowego na półmetku 5-letki

jaki dokonano w referacie i dyskusji na Plenum KŁ. Ogólna ocena dwóch pierwszych lat bieżącej pięcioletki, mimo szeregu zastrzeżeń, jest pozytywna: plany zostały wykonane z minimalną nadwyżką — 0,3 proc. Ilościowo biorąc wybudowano 22,8 tys. mieszkań o pow. użytkowej ok. 1,1 mln m kw. — w skali województwa. W Łodzi analogicznie: 19 tys. mieszkań o ok. 948 tys. m kw. Plan na rok bieżący zakłada wybudowanie w woj. 11 tys. mieszkań o pow. 571 tys. m kw. i jest wyższy o ok. 3 proc. w stosunku do ub. roku.

Zadania na rok 1978 są więc wysokie i trudne, zwłaszcza, że zaawansowanie stanów surowych z roku poprzedniego było niekorzystne — za ledwie 11,5 proc. Jak wspomnieliśmy uzbiorzenie terenów nie wyprzedza jeszcze realizacji obiektów kubaturowych, co niekorzystnie odbija się na

zadań na lata 1979-80.

Wynoszą one 1.176 tys. m kw. albo inaczej mówiąc 23,5 tys. mieszkań. Wydawałoby się, że niebawem z rozbudą akcentuje trudności, gdyż wzrost ilościowy nie jest znaczący w porównaniu do okresu ostatnich 2 lat. A jednak nie. Dwa przyszłe lata — to nadal kłopoty z uzbiorzeniem terenów, opóźnieniami terminów w dostarczaniu dokumentacji projektowej i przekazywaniu terenów, mogą też wystąpić trudności z doborowaniem cienia, pogłębia się trudność z „głębszym” wejściem w śródmieście. Już dziś można przewidzieć stopień trudności, które wystąpią w przyszłości, choćby po stanie obniżeniu, np. w przygotowaniu dokumentacji, w zupełnym braku technologii na wznoszenie obiektów w specyficznych warunkach zabudowy śródmiejskiej, gdzie także trzeba będzie sięgnąć po tradycyjne środki. Także do rezerwy uzbiorzenia istniejącego na tym terenie należy podchodzić z rezerwą, czas bowiem swoje robi. Do rejestru przyszłościowych trudności należy także doliczyć nie oddanie w lipcu br. do eksploatacji wytwórni elementów na ul. Lodowej, której produkcja dodatkowa założona jest w planie. Również sytuacja w samym zapleczu technicznym Łódzkiego Zjednoczenia Budownictwa wymaga znacznego zastrzyku finansowego, chodzi zwłaszcza o dokończenie inwestycji w Pabianicach, Zdunskiej Woli, Kuluskach, Wytwórni Kabin Sanitarnych, gdzie średnio zainwestowano dopiero ok. połowę niezbędnych środków. Także na rozbudowę mocy przedsiębiorstw inżynierskich należy zainwestować ok. 300 mln zł. Istnieje jednak poważna obawa, że te w pełni uzasadnione potrzeby postulat, nie zostaną w pełni spełnione: decyzje sprzyjające miastu

zakłady pracy nie przejawiają większego zainteresowania tą formą budownictwa. Problemem także stała się koszt domków jednorodzinnych. Mimo że są to przeważnie budynki typu szeregowego, koszt jednego mieszkania kształtuje się w granicach 800–900 tys. zł. Ogranicza on, zwłaszcza w mniejszych miastach województwa, liczbę zainteresowanych tego typu mieszkaniami.

Wspominając o dodatkowych możliwościach przyśpieszenia budownictwa mieszkaniowego wymieniam

młodzieżowy patronat nad budownictwem.

Czas, żeby to stwierdzenie zilustrować, chociaż nie będa tu przytaczane konkretne liczby. Ale czyż nawet te kilkaset dodatkowych mieszkań nie jest wielką sprawą? Na pewno tak.

Idea młodzieżowego patronatu ma już swoje tradycje. Jak pamiętamy w 1971 r. tow. Edward Gierk wyświadczył odpowiedni apel do młodzieży i spotkał on się z pełnym zrozumieniem przez młodych i ich rodziców. W instancjach partyjnych i w zakładach pracy. Oto konkrety. W ub. 5-letce dzięki własnej dodatkowej pracy na rzecz budownictwa otrzymało wcześniej mieszkania ponad 600 uczestników patronatu. (Wybudowano 7 bloków o 1,300 izbach). W bieżącej pięcioletce dzięki tej akcji powstają dodatkowe 2–3 budynki rocznie. Młodzi biorą także udział w uzbiorzeniu terenów, budowie domków jednorodzinnych, pracują przy wykończaniu budynków. Proponuje się im zalecie remontów starych domów, zagospodarowanie terenów w osiedlach. Obecnie brygady młodzieżowe z 9 zakładów pracy wykonują prace wykończeniowe przy 250 mieszkaniach, głównie na osiedlu Retkinia i Radogosz: wartość wkła-

oczekujących na mieszkanie w województwie członkowie spółdzielni (bez kandydatów, o których WUS nie podaje bliższych danych) stanowią niecałe 40 tys. osób. Wśród nich ponad 1.400 zajmują lokale nie nadające się do zamieszkania — i to jest ten najbardziej bolesny problem, chociaż znow statystycznie wielkość znikoma. Ponad 6 tys. osób zajmują lokale nadmierne zagęszczone (ponad 5 m kw. na osobę). Do grupy „nie posiadających samodzielnego mieszkania” przynależą ponad 20 tys. osób. Liczby te w całości nie przedstawiają, że udało się zaspokoić potrzeby mieszkaniowe większości osób posiadających najtrudniejsze warunki mieszkaniowe. Obecnie większość oczekujących pragnie poprawić swe warunki (na mieszkania większe i lepiej wyposażone). Duża grupa dokonała wpłat i zajmuje lokale dla dorastających dzieci lub dla siebie, by ustąpić im własne mieszkanie, kiedy się usamodzielnia.

Jak wspomnieliśmy, radykalna poprawa przyniesie przyszła 5-letka dopiero po 1985 roku problem zostanie generalnie rozwiązany. Ale już teraz, A.D. 1978, trzeba dostrzec i przyjąć z uznaniem ogrom wysiłku jaki włożono w ostatnim okresie w przyśpieszenie rozwiązywania tego problemu. Niech to podkreśli jednoznacznie ostatni już cytat liczbowy. W latach 1946–70 wybudowano w Łodzi ok. 95 tys. mieszkań. Przez 25 lat, i tyle samo prawie przybędzie w ostatnim dziesięcioleciu 1971–80! To największy przyrost polityki społecznej naszej partii, budowania socjalizmu przez ludzi i dla ludzi.

Na zakończenie swego sprawozdania chciałbym przedstawić

kilka uwag o charakterze ogólnym,

już może poza zasadniczym tematem. I jedno usprawiedliwienie, jako że niewiele przytoczyłem głosów dyskusyjnych. A były to wypowiedzi kompetentne i konkretne. Zostawiam je jednak w spokoju, bo do ich oceny potrzebna jest wszechstronna analiza, spójnienie nań przez całościowy przemat problemu. W takim ujęciu będą one na pewno przydatne zarówno dla rozwiązywania ogólniejszych problemów jak i spraw szczegółowych.

Pierwszą uwagę dotyczy samego procesu inwestycyjnego. Staramy się rozumieć trudności budowniczych, np. z zaopatrzeniem materiałowym. Jest to prawda, takie są fakty. Ale z drugiej strony patrząc, materiały te w ostateczności się znajdują, gdyż budownictwo plany realizuje. Ostatecznie są to więc przewidywania subiektywne, wynikające z niedostatków planowania, koordynacji, dostaw, perturbacji transportu, strat i niegospodarności na zapleczu i samych budowach.

Po drugie, w ostatnich latach budownictwo otrzymało miliardy „na techniczne uzbiorzenie, sprzęt, transport. A tu i ówdzie słyszy się, że to nie wystarczy, kiedy w odczuciu społecznym faktycznie wykorzystanie tego sprzętu jest daleko niezadowalające, że dominuje tu improwizacja w gospodarowaniu, myślenie na dzisiaj, liberalizm w rozliczaniu odpowiedzialnych.

Nazwę także na architektoniczną monotonię naszych osiedli. Jest to częściowo słuszne, bo nie ma innej drogi niż prefabrykacja, uzmysłowanie budownictwa, a co za tym idzie — nieunikniona standardyzacja. Ale z drugiej strony patrząc na rozbudowę innych miast w kraju czy u sąsiadów, gdzie warunki są wręcz takie same, odnosi się wrażenie jakiegoś minimalizmu, braku wyobraźni planistycznej, oryginalności w komponowaniu zabudowy osiedlowej i poszczególnych obiektów. (Z tego zarzut wywalczyłbym osiedle Zgierska — Stefana).

Równoległa sprawa to sposób wykorzystania istniejących już zasobów i organizacja życia społecznego w osiedlu. Interesujące doświadczenia, w tym zakresie posiadała, np. działające spółdzielczości mieszkaniowej i samorządu mieszkańców w osiedlu Wdług-Wschód. Organizacja własnej brygady usługowej, punktu majsterkowania próbuje się tu wykańczać mieszkania w uzgodnieniu z przyszłymi lokatorami, mieszkańcy sami dbają o porządek a za zapoczątkowanie wzbogacenia „publicznego” wyposażenie osiedla. Myślę też jak pomóc mieszkańcom we wzajemnym poznaniu się, zżyciu, podejmowaniu wspólnych celów społecznych. Podwyższenie wśród młodzieży, osiedla, ma swój hejnał i herb, w przyszłości galeria dla amatorów-plastyków i fotografików. To omyślowość i oryginalne inicjatywy wzbudzała sympatię i uznanie, ale też i pewien sceptycyzm. Integrowanie ludzi w miejscu zamieszkania to rzecz złożona, a sytuacja obecna to efekt wielopokoleniowych przemian kulturowych i cywilizacyjnych raczej o odwrotnym charakterze. Czas oczywiście pokazać jak rozwina się stosunki środowiskowe ale póki co radziłbym jak największe nacisk położenie na te bardziej pragmatyczne okoliczności dnia codziennego: zaopatrzenie sklepów, usług, rozrywek, drogi parkingi, zielone, bezokoliczności podczas wieczornych spacerów i spacerów dla ściana.

JERZY WAWRZAK



Foto: K. Turowski

władz centralnych są przecież limitowane możliwościami.

Oczywiście to jedna strona medalu, druga to cały kompleks działań, które powinny i muszą zagwarantować pełne zrealizowanie programu budownictwa mieszkaniowego. Także wiele optymistycznych przesłanek. Wymienimy chociaż kilka. Po pierwsze: systematyczny w ostatnich latach wzrost wydajności pracy (przy spadku zatrudnienia) nowe technologie i systemy organizacyjno-ekonomiczne, stałe podnoszenie kwalifikacji załóg budowlanych i wzrost ich prestiżu społecznego, mobilizacja i opanowanie organizacji partyjnych i młodzieżowych. Dodajmy do tego jeszcze dalsze przestawianie potencjału budownictwa przemysłowego na „mieszkanikowskie” i udział zakładów z innych branż — a sytuacja nabiera właściwych proporcji. Do tych czynników jeszcze powróćmy.

Dla całości obrazu budownictwa mieszkaniowego należy wspomnieć jeszcze, choćby skrótnie o sytuacji jaka istnieje na odcinku

budownictwa jednorodzinnego indywidualnego i spółdzielczego.

Globalnie zadania w budownictwie jednorodzinnym zostały i to dość poważnie przekroczone. W latach 1976–77 wybudowano indywidualnie prawie 2.200 mieszkań na 1.600 planowanych. Natomiast w budownictwie spółdzielczym zadania wykonano za ledwie w 30 proc. (ponad 90 mieszkań na 300 planowanych). Podobne proporcje istnieją w I półroczu br. Aktualnie zaawansowanie prac w budownictwie jednorodzinnym wskazuje, że założony na lata 1976–80 program będzie w pełni zrealizowany, dzięki przekroczeniu planu przez budownictwo indywidualne. Nie wydaje się natomiast możliwe aby spółdzielcze budownictwo jednorodzinne zrealizowało swoje zadania. Niskiemu zaawansowaniu za minione trzy lata (na koniec roku szacuje się na 30 proc. programu) towarzyszyło opóźnienie oddania do użytku Wytwórni Domków Jednorodzinnych. Również

du ich prac szacuje się na ok. 10 mln zł.

Także z myślą o młodzieży, ze zrozumienia problemów z jakimi borykała się młoda małżeństwa, wziął się pomysł mieszkań rotacyjnych. Jest ich już kilkaset. W przyszłym roku przewiduje się oddanie dalszych 600, a w 1980 — 1.400. Mieszkania rotacyjne są niewątpliwie doświadczeniem dla wielu ludzi, chociaż nie jest to jeszcze „prawdziwe” mieszkanie. Niebagatelny jest przy tym fakt, że taki układ pozwala na dość daleko idące zmiany struktury wielkości budowanych w przyszłości mieszkań, na korzyść mieszkań większych. (Np. w latach 1979–80 udział mieszkań typu M-4 i M-5 będzie wynosił ok. 35 proc.). Ale jest to już w głównej mierze zmartwienie tych, którzy już jakieś mieszkanie posiadają. Przyczynimy się natomiast

sytuacji tych, którzy czekają w kolejce.

Jest ich jak wspomnieliśmy, ponad 78 tys. zarejestrowanych w Województwie Łódzkim. Spółdzielni Mieszkaniowej, członków i kandydatów, ze zgrupowaniem wkładem. Z tego na Łódź przypada prawie 65,5 tys. osób, tutaj też najdłuższe czeka się na mieszkanie. Przykładowo: od 1971 roku czeka na mieszkanie ponad 9 tys. osób, od 1972 i 1973 po ok. 5 tys., od 1974 — 8 tys., od 1975 — ponad 10 tys., od 1976 i 1977 — po ok. 12 tys. Z tego podsumowania wynika, że obecnie więcej niż połowa członków i kandydatów do nowych mieszkań w Łodzi czeka nie dłużej niż trzy lata. Bez porównania korzystniejsza jest sytuacja w pozostałych miastach województwa. W Łodzi sytuacja jest bardziej złożona. Nie chce zonglować cyframi i twierdzić, że jest dobra, bo los tych najdłuższych oczekujących 9 tys. nie jest równy pozostającym 69 tys. nie jest równy niewiele ponad jeden procent ludności. Za każdym choćby problemem społecznośc stoi człowiek, jego rodzina ze swoimi utraceniami. Zestawiam jednak te cyfry, bo chodzi mi o stwierdzenie, że sytuacja mieszkaniowa nie jest tak dramatyczna, jak była kilka lat temu. Wśród

DLA JEDNYCH BYŁA TO CIĄGLE JESZCZE „ZIEMIA OBIECANA”, INNYCH ZNOWU – TYSIĄCE PROLETARIUSZY, TO WŁAŚNIE MIASTO ZAMIEŃIAŁO W ŚWIADOMYCH SWEJ SPRAWY ROBOTNIKÓW. BEZ ŁODZI – BO O NIEJ BĘDZIE TUTAJ MOWA – PANORAMA 60-LECIA NASZEJ NIEPODŁĘGŁOŚCI BYŁABY CO NAJMNIEJ NIEPEŁNA. TUTAJ BOWIEM, JAK W SOCZEWCE, SKUPIAŁY SIĘ WSZYSTKIE CECHY II RZECZYPOSPOLITEJ, JEJ KAPITALISTYCZNYCH STOSUNKÓW SPOŁECZNYCH.

Bilans

Jeśli na przykładzie Łodzi chce się pokazać choćby wybrane, ale niezmienne istotne i charakterystyczne nie tylko dla tego skupiska wielkoprzemysłowej klasy robotniczej problemy nurtujące II Rzeczpospolitą od jej zarania, to konieczne jest przypomnienie już historycznych faktów z dziejów tego miasta. Odwołam się przy tym do nie było jakiegoś znawcy, a mianowicie Adama Ginsberta, który w swojej książce pt. „Łódź” tak m.in. pisze:

„Dotychczasowy rozwój miasta przerywa I wojna światowa. Straty wojenne poniesione przez przemysł łódzki wskutek rabunkowej gospodarki niemieckiej szacowane są na sumę 186,341,803 rubli w złocie. Łączna suma bezpośrednich strat wojennych była jednak o wiele wyższa szacowano ją na ok. 340 mln rubli w złocie, co w przeliczeniu na walutę polską odpowiada kwocie 1,8 mld zł przedwojennych.”

A. Ginsbert – już w charakterze ikonoklasty odnoszącej się do międzywojennej sytuacji łódzkiego ośrodka przemysłowego stwierdza dalej:

„Podstawowym czynnikiem miastotwórczym Łodzi, jest jak wiemy – przemysł włókienniczy. Odkrywanie przez kraj niepodległości wydobywa ten przemysł z ruiny, równocześnie jednak stwarza nową sytuację rynkową. Przemysł włókienniczy Łodzi w nowych warunkach politycznych traci swe tradycyjne rynki zbytu na

wielkość miasta również w Polsce międzywojennej, odzwierciedlał się we wszystkich politycznych, ustrojowych cechach II Rzeczypospolitej, tak, jeśli chodzi o rezultaty tej polityki zewnętrznej – silnie akcentowany antykomunizm co przekładało – jeżeli chodzi o sferę gospodarczą – choćby szersze widzenie na tradycyjną a chłonną rynek radziecki, czy też stosunków wewnętrznych gdzie dominującym elementem, nadrzędnym czynnikiem w poczynaniach władz był interes klas posiadających z rezultatem utożsamianym z interesem burżuazyjnego państwa.

Prawdziwe oblicze ówczesnej Łodzi, koncentracji problemów gospodarczych i konfliktów społecznych można łatwo odnaleźć w strofach tułimowskich „Kwiatów polskich”, ale jeszcze pełniej mówią o nich tylko pozornie suche wskaźniki statystycznych zestawień. Oto – że wspomnę tylko, dla przykładu – w roku 1931, mieszkania jednoizbowe stanowiły 63 proc. wszystkich łódzkich zasobów mieszkaniowych, tylko 5,7 proc. mieszkań posiadało wodę, gaz, kanalizację i elektryczność. Z tzw. centralnego ogrzewania korzystała tak znikoma ilość łódzkich mieszkań, iż zestawienia statystyczne po prostu nie ujmowały tego „zjawiska”.

Wielkość zaniechań widać jeszcze wyraźniej gdy się porówna sytuację w Łodzi z innymi miastami ówczesnej Polski. Tak więc w tym samym roku 1931 w Warszawie 44 proc. wszystkich mieszkań posiadało gaz, wodę, kanalizację i elektryczność, w Krakowie takich mieszkań było 47 proc. w Poznaniu – 63 proc. Tymczasem w Łodzi, jeszcze w roku 1939, ledwie 10 proc. mieszkańców korzystało z miejskich wodociągów, z kanalizacji – niespełna 20 proc., przy czym warto zauważyć iż i te zmiany były przypisywane przeleci władzy w mieście – stało się to we wrześniu 1939 roku – przez przedstawicieli ówczesnej lewicy, która złączona w Frontie Ludowym wierała wybory do Rady Miejskiej.

Nie tu nie było za darmo, lecz powstało w szczególności ostrych walkach klasowych. W I-majowym pochodzie w roku 1936, który przerodził się w demonstrację o prawo do pracy i godziwych warunków życia wzięło udział – wg raportów policji państwowej – ponad 100 tys. łódzkich robotników. Doszło do starć ze stróżami ówczesnego porządku. Miał prawo pisać poeta:

„Nam na ulicy końskie kopyta”.
Swoje strofy nazywał „werbłem maszerującego proletariatu”.

Noc

Dla tego miasta, w którym jak w ilustracji odbijały się wszystkie polityczne, społeczne i gospodarcze problemy II Rzeczypospolitej nadszedł jeszcze gorzszy czas, groźący – tak jak i całemu narodowi nie tylko polskiej państwowości, okresu okupacji hitlerowskiej.

WSKAŹNIK WYKORZYSTANIA MASZYN W ŁÓDZKIM PRZEMYSŁE WŁÓKIENNICZYM W LATACH 30

W przemyśle bawełnianym:
wzrostła efektywność – 55%
krośna tkackie – 70%
W przemyśle wełnianym:
wzrostła efektywność – 70%
krośna tkackie – 50%
UWAGA: założeniem jest, iż 100% wykorzystania maszyn oznacza ich pracę w ciągu 350 dni na 1 zmianę

I tutaj wypada obalić dewięć pokutujących przez bardzo długie lata mit, że mianowicie z zawieruchy wojennej lat 1939–1945 Łódź wyszła obronna reka...

No cóż, pozornie tak to wyglądało. Piotrkowska stała jak i dziś stoi, tyle tylko że:

▼ 42 proc. technicznych urządzeń łódzkiego przemysłu uległo zniszczeniu;
▼ tylko w dwóch dzielnicach – na Bałutach i Starym Mieście okupant zamienił w gruz 70 tys. mieszkań;
▼ 29 proc. wszystkich zasobów mieszkaniowych Łodzi z roku 1938 przestało istnieć.

Znając już te fakty należy je umieścić wśród tamtych sprzeczności roku 1939, tych choćby 10 proc. łódzian, którzy wtedy mogli korzystać z wodociągów. Wtedy łatwiej zrozumieć się ogrom potrzeb zadań, ale też i przemian dziś powszechnie uważanych za oczywiste, prawie tak jakby „zawsze były”. Właśnie...

Los fundatora

Gdyby powiedzieć, że to, co stanowi „łódzkie dziś” – stało się od razu byłoby to – delikatnie mówiąc – upiększaniem prawdy, a przecież

nie o to idzie. Chce nawet powiedzieć, iż Łódź po roku 1945 przypadła szczególnie, no, powiedzmy – obowiązek, który nazwę „Jesem fundatora”.

Aby to pojęcie zrozumieć, wypada choćby w największym skrócie wspomnieć o roli miasta w powojennej historii kraju.

W uproszczeniu rzecz biorąc: nie kto inny jak łódzki przemysł ponosił ogromną część kosztów budowy socjalizmu i podstaw jego gospodarki w Polsce. Finansował w pierwszym rzędzie inne gałęzie wytwórczości bo w roku 1945 był jedynym faktycznie funkcjonującym, mimo dotkliwych zniszczeń.

Do tego łódzki przemysł był i pozostał ogromnie odcinany mimo całej swojej importowalności. Dla przykładu: wg obliczeń z roku 1965, przy najniższej w kraju chłonności na środki kapitałowe, wartość produkcji tzw. „czystej” na jednego zatrudnionego była – poza Krakowem – najwyższą w kraju i wynosiła 88,5 tys. zł podczas, gdy np. w województwie katowickim – 62,1 tys. zł.

Tkaninami płaciło się po wojnie za chleb dla wyludnionych miast, kafełkami miast, tkaniny zarabiał też na nowe maszyny. Mizerny soadek pokapitałistyczny w nowych warunkach ustrojowych, procentował stokrotnie, przez długi czas – do roku 1970, nawet ponad miarę swoich możliwości, ale za to na skalę potrzeb całego kraju.

Zdaniem wielu ekonomistów łódzki przemysł włókienniczy umożliwił koncentrację środków na głównym celu – stworzeniu i rozbudowie przemysłu ciężkiego, podstawy gospodarki socjalistycznej. Ta historyczna konieczność odsuwała na plan dalszy interesy własne Łodzi, choć miasto i nie tylko jego przemysł lekce modernizacji. Odkładano ją na „potem” z różnych „powiedzmy sobie, nie tylko wyluszczonej przed chwilą względów.

Na „wielkie otwarcie” przynadło nam więc poczekać. Aż do roku 1971.

Przymiarki

Ale już i wcześniej, z inicjatywy łódzkiej organizacji partyjnej, KL PZPR, czynione były kroki mające na celu nie tylko utworzenie nowej perspektywy przed tym drugim co do wielkości miastem w kraju, tego przemysłem i wielotysięcznymi zalogami fabryk – szczególnie włókienniczych ale i pchnięcie na zupełnie nowe tory zabiegów wokół oczekiwanego od dawna „wielkiego otwarcia” dla stolicy polskiego przemysłu lekkiego. Godząc się bowiem – ze względu na oczywiste konieczności i racje ogólnospołeczne, polityczne – z funkcją „fundatora” trudno było w miarę ulotwu czasu nie dostrzegać gospodarczych hamulców, niebezpieczeństw przedłużania się takiego stanu rzeczy.

Oczywiście należy i trzeba pamiętać, że procesy odbudowy rozwoju, którymi ogarnięty został kraj po roku 1945 nie ominęły i Łodzi. Wybudowano przecież ok. 255 tys. izb mieszkalnych, 106 przedszkoli i żłobków, 137 nowych budynków dla szkół, 1,400 km sieci wodociągowej, kanalizacyjnej, gazowej i ciepłowniczej, w rezultacie czego w porównaniu z rokiem 1945, pod koniec roku 1970 na jedną łódzką izbę przypadła nie 2, lecz 1,34 osoby udział mieszkań ludności w ogólnej ilości mieszkań spadł z 63 do 40 proc. W roku 1970 blisko 80 proc. łódzian korzystało już z wodociągów, 76 proc. z kanalizacji, 67 proc. posiadało mieszkania z centralnym ogrzewaniem, a 50 proc. gotowało „na gazie”.

Słowem – zmieniało się oblicze Łodzi.

Można i trzeba też powiedzieć, iż była to jednak swoista „reprodukcja prosta”, zastępowanie tego, co zmurszałe lub antyhumanitarne przez nowe, co wcale jeszcze nie znaczy że w istocie swej nowoczesne. Było to też odrabianie dystansu mozołne, nałożone wieloma barierami, a nawet niekiedy fałszywymi poglądami, choćby na miejsce przemysłu lekkiego w strukturze krajowej gospodarki posuwanie się krok po kroku bo choć już Lindley projektował dla tego miasta wodociąg to dopiero dwie „mitki” bocianięte z Pilicy jako tako – i nie na długo zaspokoły pragnienie łódzian na czystą wodę.

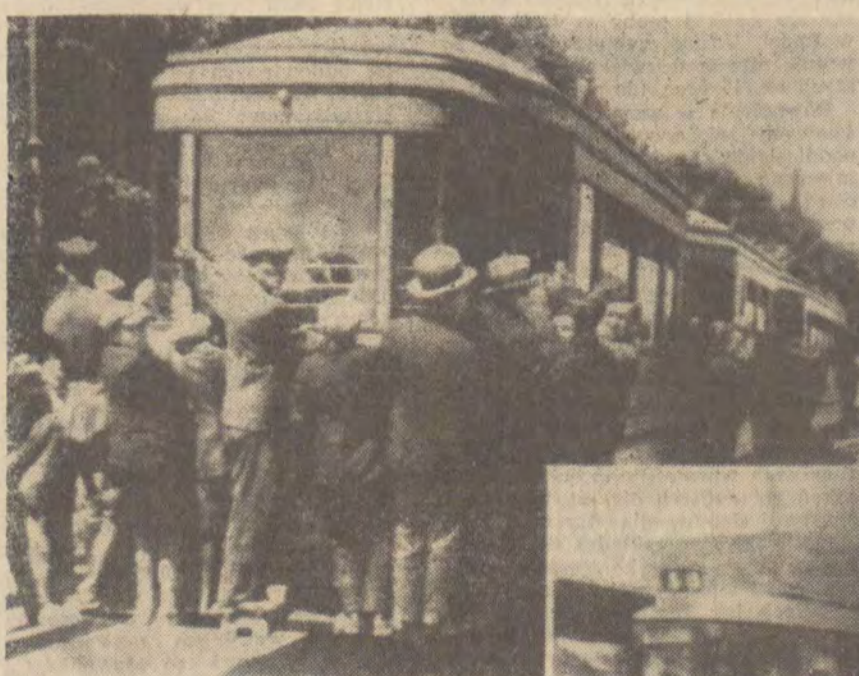
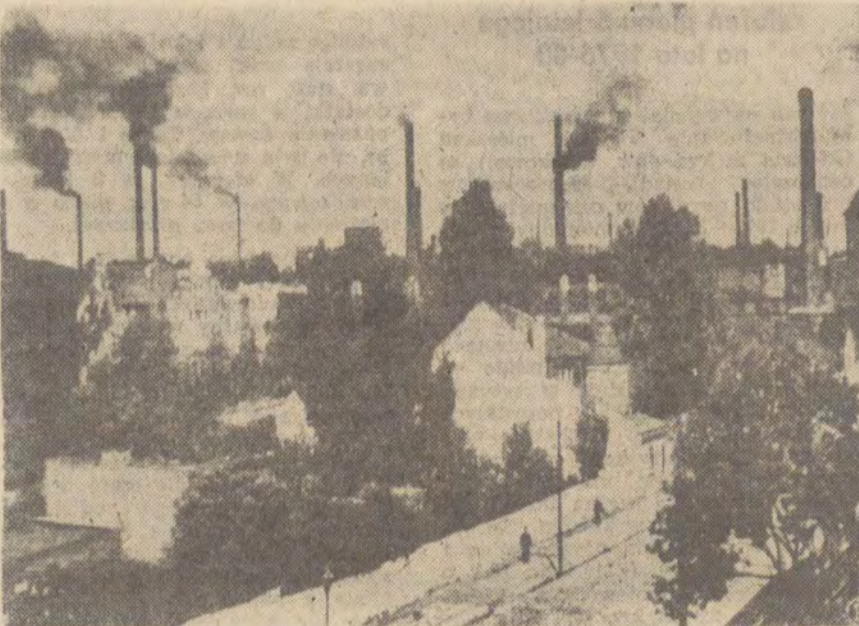
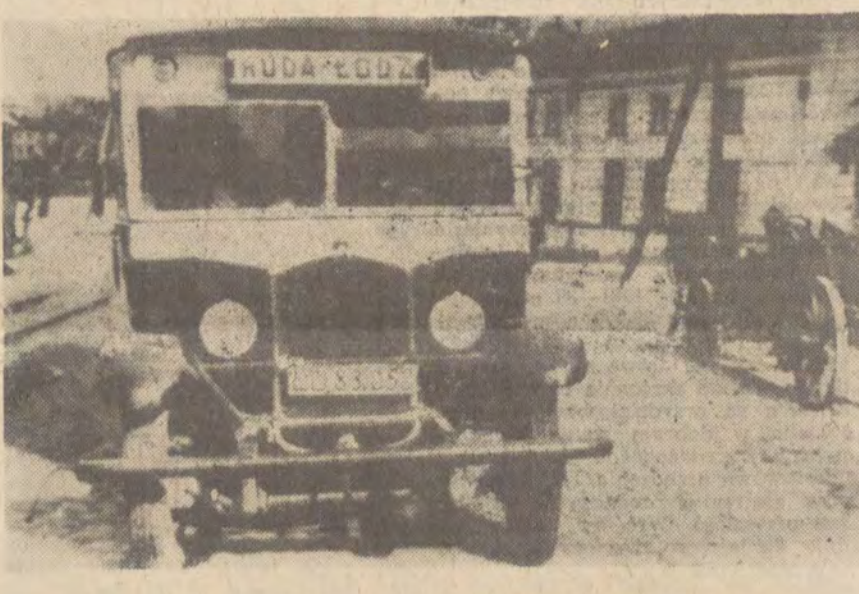
O pozycji tego miasta, tak i reszta każdego ośrodka przemysłowego, decydowały jednak inne jeszcze czynniki a przede wszystkim stan tego wytwórczego potencjału. A z tym właśnie nie było – oświeceni mówiac – naiłepiej.

Na ponarcie tej tezy odwołam się do danych statystycznych, które doskonale ilustrują – na tle kraju – stan decydujących miastotwórczych czynników. Otóż, jeśli zuzycie środków trwałych w skali całego kraju szacowano w roku 1970 na ok. 41 proc., to w odniesieniu do Łodzi – na 82,1 proc. Jeśli udział nowych zakładów w ogólnej mocy produkcyjnej w tym samym roku, dla „Warszawy obliczono na 74 proc., Krakowa – 61 proc., Poznania – 33 proc., a średnia krajowa oscylowała wokół 34 proc., to w Łodzi ten sam wskaźnik ledwie sięgał 13 proc.

Co tu dużo mówić: ten właśnie stan posiadania, a właściwie nie-

KRZYSZTOF POGORZELEC

OBLICZE NIE TYLKO „OBIECANEJ”



ŁÓDŹ - LISTOPAD 1918

posiadania łódzkiego przemysłu przesadzał o miejscu miasta na ówczesnej mapie gospodarczej kraju. Ale nie tylko to, bowiem w tym czasie szukać przyczyn wielu problemów gospodarczych i społecznych, które dawały o sobie znać w skali makro a więc całego kraju, że przypominają tylko ogromne zacofanie asortymentów, jakościowe i wzornicze wyrobów włókienniczych idących na rynek wewnętrzny, poważne luki ilościowe oraz w wyrobie już lokalnym — właściwie niezmiennie niskiej pozycji pracownika przemysłu lekkiego, a więc całej „konsumpcyjnej” — ergo — mniej wtedy liczącej się w ogólnej strukturze społecznej, zawodowej.

W pierwszych „przemyślach”, próbach koncepcji zmiany tego rodzaju sytuacji, brano pod uwagę jeszcze inne elementy ówczesnej sytuacji Łodzi jako ośrodka przemysłowego. Charakterystyczne jest więc, że jeśli w latach 1960—67 rozmiary

nie wszystko zależy od podejścia do ogólnych założeń rozwojowych nie tylko Łodzi, naturalnie, a nawet nie tylko w sferze działania ekonomicznego, badającego swoistym echem. Wyłaniała się bowiem kwestia nadzeczności celów, owo klasyczne pytanie: rozwój — dla kogo?

Odpowiedź przyniosło ze sobą pamiętne, historyczne już dziś VII Plenum KC PZPR z grudnia 1970 roku, a syntetycznym wyrazem przełożenia zwrócić na inne tor. Nowego podejścia doktrynalnego, gdy chodzi o koncepcje ekonomiczne i społeczne rozwoju było owo humanitarne głęboko hasło rzucone przez Edwarda Gierka na I Krajowej Konferencji Partyniej: DLA LUDZI — PRZEZ LUDZI.

Tylko w takich warunkach mógł nie tylko powstać, ale nade wszystko być realizowany Program Rozwoju i Modernizacji Łodzi w okresie 1971—1975 oraz założenia na lata dalsze. Jego funkcje i miejsce w ogólnokrajowych przeobrażeniach podkreślał fakt ujęcia „o” w uchwale Biura Politycznego KC PZPR i rządu PRL, co stało się w roku 1971.

Wizja

Niemal dokładnie osiem lat temu, na łamach tygodnika „PERSPEKTYWY” znalazł się reportaż pt. „Łódź, miasto zasług i potrzeb”, do którego autorstwa mam się odważyć jeszcze dziś przyznać. Wtedy, koncentrując się nie na czym innym, lecz właśnie na czynnikach hamujących rozwój Łodzi, na jej ówczesnych ekonomicznych i społecznych potrzebach, pozwoliłem sobie równocześnie — małać oczywiście — „zanadziur” nowe sugestie specjalistów — na próbie przedstawienia, no, powiedzmy, wizji naszego miasta, jak będzie ono wyglądało za... 30 lat. Napisałem wtedy:

„Jaka będzie Łódź w roku 2000? Przede wszystkim, będzie miała dużo dobrej i zdrowej wody. Wody, tak samo, co dzisiaj, gdy Stanisław Staszic pisał swój raport i zachwycał się wspaniałą tryskającą wodą. Decyzja o budowie wodociągu Półka — Łódź powinna radykalnie rozwiązać problem zaopatrzenia w wodę nie tylko mieszkańców Łodzi, ale także przemysłu, rozwijającego się w dzielnicach przemysłowo-magazynowych, a więc na Nowych Sądach, Dąbrowie i Teofilowie?”

Napisałem też wtedy:

„Za trzydzieści lat nie do poznania zmienią swoje oblicze samo śródmieście, a przede wszystkim rejon zamknięty ulicami: Główna, Sienkiewicza, Traugotta, Piotrkowska, Kilińskiego. Na tym obszarze znajdować się będzie wielkie centrum usługowo-biurowe, którego głównymi akcentami urbanistycznymi będą wieżowce oraz pawilony handlowe i takie hotele i liczne obiekty dla gastronomii. Aby jednak owo centrum nie stało się tylko biurowo-usługową pustynią, łódzcy urbanisci przewidują budowę w tym właśnie miejscu Śródmiejskiej Dzielnicy Mieszkalno-Usługowej, gdzie w wieżowcach znajdzie się kilka tysięcy mieszkań spółdzielczych o wysokim standardzie i stosunkowo dużej powierzchni użytkowej. No dobrze, ale co się stanie z Piotrkowską? Urbanisci położyli tu w pewnym sensie na usode ze zwolennikami tradycji i przewidują, że ta zabudowa dla Łodzi ulica nadal będzie... wyciskała łzy wzruszenia u milio-
nów secesji. I słusznie. Zachowane więc będą te kamienice, które są tego „odno-
namiast sama Piotrkowska zostanie oczyszczona ze środków komunikacji, stanie się spacerowym „deptakiem” i wielkim centrum handlowo-usługowym. Miał się bowiem o dosyć oryginalnym wyko-
rzysztaniu długich, wąskich podwojek — o przebudowaniu ich w handlowe pasáže...”

Liczono, że taki lub zbliżony kształt — przypomniemy — przy-
bierze przede wszystkim śródmieście Łodzi oraz niektóre jej obrzeżne dzielnice, szczególnie te programowane z dużym wyprzedzeniem. Bo przecież w grę wchodzi rok 2000, czyli — za trzydzieści lat. Tak jest i do takiej publicystycznej metody „retro” sięgnę-
nał z całą świadomością. Bo prze-
cież...

Co się stało?

O Programie Rozwoju i Modernizacji Łodzi powiedziano i napisano wystarczająco dużo, by podstawowe jego założenia, no, a przede wszystkim skala środków przeznaczonych na jego realizację dobrze były znane nie tylko mieszkańcom łódzkiej aglomeracji. Czyli się więc moralnie zwolniony z obowiązku ponownego wyliczania owych dziesiątek miliardów złotych, węzłowych inwestycji, tak o charakterze komunalnym, socjalnym, jak i przemysłowym. Takie niegdyśsięższe pojęcia li tylko planistyczne, jak Zalew Sulejowski i wypełnianie przez niego funkcje, zakłady przemysłowe: „Dywan”, „Bistona”, „Teofilów”, „Olimpia”, „Polanil”, „Brokat”, „Feniks”, „Stomil” — że wymienimy tylko przykładowo, a i w takim samym charakterze wielkie przedsięwzięcia budownictwa mieszkaniowego — takie nowe osiedla dla dziesiątków tysięcy rodzin jak Retkinia, Widzew-Wschód, Żubardz i Zabieniec, Zielarska-Stefana Choiny-Czerwony Rynek i Zatorze, Zarzew, no i Śródmiejskie Dzielnice Mieszkalno-Usługowe, tak wrosły już w panoramę łódzkiej aglomeracji że traktowane są jak coś oczywistego, prawie „zawsze obecnego” choć przecież świadectwo urodzenia miała bardzo świeżej daty.

I darujemy sobie szczegółową statystykę, bowiem od precyzji w tej dziedzinie, gdy przyglądamy się okresowi lat 1918—1978 odbijających

swój wizerunek przecież nie tylko w „soczewce” Łodzi, z pewnością ważniejsza jest odpowiedź na pytanie: co, w konsekwencji tego działania, nowej sytuacji i diametralnie różnego podejścia do problemu rozwoju społecznego i gospodarczego, stało się nie tylko w naszej aglomeracji choć przez nią na ten problem patrzymy.

Kiedy Andrzej Wajda, opierając się na reymontowskiej ośniewie, robił swoją „Ziemie obiecana”, by oddać przemysłowej oblicze ówczesnej, tamtejszej wczesnokapitalistycznej Łodzi, musiał nie tylko sięgnąć do niemal muzealnych szczątków dawnych tkalni czy przędzalni, lecz również obficie posilkować się fabryczną panoramą jednego ze śląskich miast, bowiem w mieście będącym niedzisiejszą „ziemią obiecana”, do prostu zabrakło tego tradycyjnego atrybutu przemysłowej aglomeracji. I nie był to efekt stosunkowo prostego zabiegu technicznego, lecz widomy znak głębokich przemian dokonanych w miastotwórczej tkance każdego ośrod-

ZNISZCZENIA WOJENNE W PRZEMYSŁE KRAJOWYM I ŁÓDZKIM (1939—1945)

POLSKA	
Liczba zakładów	— 30.017
w tym zniszczonych	— 18.592
ŁÓDŹ	
Liczba zakładów	— 789
w tym zniszczonych	— 399

ka — w jego przemysłu. Tutaj — w
głębokich przeobrażeniach struktural-
nych wewnątrz tradycyjnie łódzkiej
specjalności włókienniczej, jak i no-
wych rodzajach przemysłowej pro-
dukcji — trzeba szukać owej szansy,
która Łódź otrzymała po roku 1971.
Potrafiła doskonale wykorzystać jako
czynnik gruntownie modernizujący
miasto, jego infrastrukturę przemys-
łową, gospodarczą i społeczną. Doty-
czy to tak tradycyjnie łódzkiej spe-
cialności, a więc umownie mówiąc —
„bawełny”, dającej jeszcze nie tak
dawno prawo do przybierania nazwy
„polskiego Manchesteru”, jak i otwar-
cia się całego przemysłu włókienni-
czego na najnowsze techniki i tech-
nologię, tak samo „elektronizowane”,
przezwane chemia, kwalifikacjami
jak inne rodzaje wytwórczości uwa-
żane za nośniki postępu technicznego.
Bo krosno i maszyna tkacka to za-
pełniły różne rzeczy, bezwzględnie
technika przedzenia tak się ma do
dawnego „selfaktora” jak prawo-
wiowa... pieśń do nosa, technika dzie-
warska w sensie uzbrojenia maszyn-
owego nie bez powodów przyrówna-
wana jest do precyzji potrzebnej w
przemysle lotniczym, a rozwinięcie,
przede wszystkim opanowanie, tech-

niki produkowania na wielko-
skale odzieży, to problem nie-
miennie trudny, wymagający zra-
nia takich czynników, jak moda, ela-
styczność, dokładność, estetyka wyko-
nania, dbałość o każdy detal, czego
nie potrafi często połączyć rze-
mieśnik. Dodajmy do tego wejście w
krwiobieg łódzkiej gospodarki dużych
zakładów przemysłu elektrotechnicz-
nego, budowy maszyn, no i chemii...

Konsekwencje społeczne realizacji
tak skonstruowanej do roku 1971
łódzkiej perspektywy, która stanowi-
ła wyznacznik ogólnokrajowej całości,
mogły być i były tylko jedne: ogrom-
ny awans w drabinie województw,
przebudowa struktury zawodowej.
Świadcza o tym wskaźniki, liczby do
których zawsze, a nie tylko od „wiel-
kiego dzwonu” warto sięgać: w roku
1970, a więc na starcie do „wielkie-
go otwarcia” tylko nieco więcej jak
35 proc. zatrudnionych legitymowało
się wykształceniem wyższym niż
podstawowe, w roku 1977 — ten
wskaźnik podskoczył do 46,6 proc.
Potencjał kadrowy zwiększył się więc
wyraźnie, to samo da się powiedzieć
o liczbie łódzian zawodowo czynnych
a posiadających wyższe wykształcenie
akademickie — stanowią oni dziś 7,2
proc. ogółu zatrudnionych.

A przecież jest to tylko jedna z
konsekwencji skoku, jest ich ogrom-
nie więcej, są łatwe do sprawdzenia,
natknąmy się na nie każdego dnia,
korzystamy z nich, choć — jeszcze
nie tak dawno łódzianie dyskutowali
o nich w katedrach wili z roku
2000, w czym i ja miałem swój
dział na łamach tygodnika „Perspek-
tywy”.

Wiel — że powtórze — co się stało?

To co najważniejsze dla każdej so-
łeczności, a szczególnie dla tak wiel-
kiej aglomeracji, wprowadzić swoje
przemysłowe tradycje sprzed 150 lat

NIE TYLKO NADROBIONO ZA-
LEGŁOŚCI, ALE CO WAŻNIEJSZE
WPROWADZONO JEDEN Z NAJ-
WIĘKSZYCH OŚRODKÓW WY-
TWÓRCZYCH W KRAJU W GŁÓW-
NY NURT JEGO SZYBKICH PRZE-
OBRAŹEN SPOŁECZNYCH I EKO-
NOMICZNYCH. Z MARGINESU
PRZESUNELISMY NA CZŁOŁO,
PEŁNIĄC ROLĘ JEDNEGO Z ATU-
TÓW UPOWAŻNIJĄCYCH DO
WIELKIEGO OTWARCIA W NOWO-
CZESNOŚĆ.

Na początku listopada 1918 roku było
już jasne, że czteroletnia okupacja
Łodzi przez Niemców ma się ku koń-
wi. Działające w podziemiu organizacje
peowiać i legionowe oraz wydziały
bojowe partii robotniczych czyniły in-
tensywne przygotowania do zbrojnego
wystąpienia przeciwko okupantom i
przejęcia władzy w mieście.

8 listopada 1918 r. gazety miejscowe
przyniosły wiadomość, że utworzony w
Lublinie na terenie okupacji austriackiej
rząd polski proklamował Polską
Republikę Ludową. Wywarło to na mie-
szkańcach Łodzi ogromne wrażenie.

Następnego dnia odbyło się w mie-
ście wiele wieców i demonstracji. Zgro-
madzony przed Grand Hotelem tłum
przywitał wychodzących z budynku ofi-
cerów niemieckich wrogimi okrzykami
i gwizdami. Wzwalali oni oddział poli-
cjanów, lecz tłum ich rozbroił.

10 listopada, na wiadomość o rewo-
lucji w Berlinie, część wojsk niemiec-
kich stacjonujących w Łodzi utworzyła
Radę Zołnierską. Oficerom zdarto nara-
mienniki, a żołnierze oddobili swoje
mundury czerwonymi kokardami.

Ranek 11 listopada 1918 roku zastał
wszystkie organizacje bojowe w pełnym
pogotowiu. Uzbrojeni ludzie, zgrupowa-
ni w wyznaczonych punktach miasta,
oczekiwali na sygnał do uderzenia. W
południe nadeszła wiadomość o zrzecze-
niu się tronu niemieckiego przez cesa-
rza Wilhelma II i jego ucieczkę do Ho-
landii. Mimo to moment wystąpienia
zbrojnego odwlekał się. Powodem tego
był brak jednolitego kierownictwa w
organizacjach bojowych, a także wyce-
kowanie na legalne przekazanie władzy
w mieście przez Niemców magistrato-
wi łódzkiemu.

Wtedy przemówił instynkt mas. Na-
stąpiło samorządne rozbrajanie żołnierzy
niemieckich przez zwykłych przecho-
dników. Było to jawisko wręcz niepra-
wopodobne, że jeszcze do niedawna tak
butni i pewni siebie przedstawiciele
władzy niemieckiej — zdezerentowani
i zaskoczeni — oddawali teraz pospie-
sznie swoją broń nawet na żądanie
młodocianych. Na ulicach, w tramwa-
jach, bramach rozbrajano napotkanych
oficerów, żołnierzy i policjantów. Wo-
bec zaszyjch okoliczności polskie orga-
nizacje wojskowe przystąpiły do dzia-
łania. Akcji rozbrajania Niemców przy-
świecały dwa zasadnicze cele: zdobycie
broni i obsadzenie głównych punktów
strategicznych miasta.

Uzbrojenie grup bojowych było słabe.
Oddział zdobywający Dworzec Ka-
liński posiadał zaledwie 5 rewolwerów,
4 karabiny i 5 szabel. Wszystkie oddzia-
ły uderzały przede wszystkim na komi-
sariaty policji, gdzie było najłatwiej
zdobyć broń gdyż zaskoczeni policjanci
nie stawiali większego oporu.

Do późnych godzin wieczornych opa-
nowano Dworzec Kaliski, szereg komi-
sariatów policji, lokal żandarmerii, war-
szaty samochodowe w fabryce Poznań-
skiego, składnica wojskowa w zabudo-
waniach Allarta. Zdobyto kilkadziesiąt ka-
rabinów ręcznych, kilka karabinów ma-
szynowych, samochody, konie, mundury,
żywność. Natomiast nie powiodł się atak
na Dworzec Fabryczny. Zginął tu czło-
nek oddziału bojowego, Bolesław Sala-
ciński.

Opanowanie większości punktów stra-
tegicznych w mieście i rozbrojenie pew-
nej liczby żołnierzy niemieckich nie
dawało jeszcze pełnego sukcesu. Nie
udało się bowiem próba zdobycia ko-
szar przy ul. Konstantynowskiej (Obr.
Stalingradu). Około godziny 10 wieczo-
rem wojska niemieckie ruszyły z tych
koszar do śródmieścia Łodzi.

Należało przystąpić do przeciwdzia-
łania. Wśród polskiego dowództwa zrodził
się pomysł nawiązania rozmów z Radą
Zołnierską i zlikwidowania za jej po-
średnictwem niebezpiecznego wystąpie-
nia części garnizonu niemieckiego. Uda-
no się więc niezwłocznie do siedziby
rady, mieszczącej się przy ul. Średniej
(Nowotki). Po krótkich pertraktacjach
niemiecka Rada przedłożonych przez
się do propozycji wojskowa. Polegały
one na tym, że w zamian za przekaza-
nie Polakom władzy w mieście, żołnie-
rze niemieccy będą mieli zapewniony
swobodny powrót do Niemiec.

Przedstawiciele obu stron w udekoro-
wanych czerwonymi chorągiewkami samo-
chodach udali się na teren zagrożony
działaniami wojennymi. Czas był ku te-
mu najwyższy. W alei Kościuszki,
obok gmachu dzisiejszego Narodowego
Banku Polskiego, nastąpiło już bowiem
pierwsze starcie piechoty niemieckiej z
polskimi oddziałami. W starciu tym zgi-
nął od kul niemieckiej członk Polniskiej
Organizacji Wojskowej Stefan Linke.
Na szczęście posłuszną dotąd rozkazom
dowódców część garnizonu niemieckiego
usłuchała wezwania Rady Zołnierskiej
o wstrzymaniu działań zbrojnych i po-
wróciła do koszar.

Miasto ogarnął szal radości. Prawie
cała polska ludność wyległa na place i
ulice. Grupy kilkunastoletnich chłopców
rozbiegły się po mieście i gdzie tylko
dostarczyli niemieckie napisy lub godła
państwowe na budynkach urzędów —
zrzucali je na bruk. W oknach wielu
domów pojawiły się chorągwie o poli-
skich barwach narodowych. Co chwila
odzywały z bronią w ręku przebiegły
dzielnice miasta. Cała noc aż do świta-
tu trwało obsadzanie ważniejszych
obiektów w mieście.

Przejęcie władzy w Łodzi przez Po-
laków nie odbyło się wszakże bez ofiar.
W czasie rozbrajania okupantów zginę-
ło od kul niemieckich sześć osób. Oprócz
już wspomnianych Salacińskiego i Lin-
kego, śmierć ponieśli Józef Bukowski,
Stefan Andrzejczak, Eugeniusz Wasiak i
16-letni chłopiec Jan Gruszczyński. Po
stronie niemieckiej poległ jeden żoł-
nierz.

Noc listopadowa przyniosła Łodzi
upragnioną wolność. Mglistym rankiem
nad miastem powiały biało-czerwone
chorągwie.

WACŁAW PAWLAK



Foto: W. Parys



POLSKA PIEŚŃ ŻOŁNIERSKA

Już wkrótce na antenie ogólnopolskiej TVP nadany zostanie czwarty program zrealizowany przez Ośrodek Łódzki TP z cyklu „Polska pieśń żołnierska”, zatytułowany „Listopadowe nadzieje”. Cykl spotkał się z pochlebnymi opiniami i recenzjami, a jego główni twórcy to: autor scenariuszy i reżyser — **TADEUSZ WORONTKIEWICZ**, kierownik muzyczny — i dyrygent — **STANISŁAW GERSTENKORN**, kierownik produkcji — **ZDZISŁAWA HAUSNER-SAAR**, operator kamery — **WOJCIECH KRÓL**, otrzymali nagrodę II stopnia ministra obrony narodowej. Ogromna praca twórcza i organizacyjna zapewniła cyklowi, jak sądzę, znaczące miejsce w programie telewizyjnym.

— Jak doszło do realizacji tak olbrzymiego przedsięwzięcia?

Stanisław Gerstenkorn: — Propozycja programu zrodziła się wiele lat temu. Pragnęliśmy przypomnieć najciekawsze pieśni, piosenki i utwory związane z tematem objętym tytułem cyklu — „Polska pieśń żołnierska”. Prace dokumentacyjne trwały wiele miesięcy. Chcieliśmy zgromadzić możliwie największą ilość utworów. Nieocenione usługi oddała nam mgr Krystyna Bielska — kierownik sekcji Muzykalii Biblioteki Uniwersytetu Łódzkiego, a także antologia Tadeusza Szewery „Niech wiatr ją poniesie” oraz trzypięciowa publikacja przedwojenna „Pieśni żołnierskie” Zygmunta Andrzejewskiego. Docieraliśmy również do źródeł starszych, jak na przykład do zbioru pieśni z powstania listopadowego wydanego w 1863 r.

— Cykl koncentrował się, jak dodać, głównie na wojennych wydarzeniach wieku XX i pieśniach powstania listopadowego. Co kierowało takim właśnie wyborem? Czy brak jest zapisów wcześniejszych?

Tadeusz Worontkiewicz: — Zrealizowaliśmy cztery, godzinne programy. W kolejności powstawania: „Listopadowe nadzieje”, „Wirtuti Militari” — związany z polskim wrześniem 1939, trzeci — „Rok 1944”, czwarty — „Berlin — maj 1945”. Wybór był podyktowany między innymi potrzebami programowymi, związanymi z kalendarzem obchodów 60-lecia Niepodległej Polski.

Stanisław Gerstenkorn: — Zapisy wcześniejsze oczywiście istnieją. Pierwsze, jakie posiadamy, wprowadzi niepełne, szczególnie w zapisach nutowych, dotyczą okresu władzy Władysława Jagiełły.

Tadeusz Worontkiewicz: — Z powodzeniem możemy sięgnąć do czasów Kościuszki, wojen napoleońskich, powstania styczniowego. A wszystko na to wskazuje, że wkrótce przystąpimy do realizacji dalszych odcin-

ków cyklu, prezentujących polską pieśń żołnierską śpiewaną na obcych frontach, na przykład w Hiszpanii.

— Czy podczas tak bogatych studiów nad tematem natrafiliście Panowie na coś, co was samych po prostu zdziwiło?

Stanisław Gerstenkorn: — O, tak. Natrafiliśmy na szereg utworów nieznanych, zapomnianych. Jednym z nich jest tekst Kornela Makuszyńskiego:

„Największy pan na ziemi
Jest sobie polski żołnierz.
Wziął srebrzysty
Przystroił sobie koinierz

Choć leci kul nieśmia,
Pan żołnierz sobie śpiewa
A śmierć, gdy spotka w ścisłu
To spierze ją po pysku.

Ma złote, dobre serce
Dziewczęczy łyż w maniere
Palacu mu nie trzeba
Gdy widzi trochę nieba.

Tadeusz Worontkiewicz: — W programie, który będzie wkrótce nadany znalazła się bardzo ciekawa piosenka dzieci walczących w powstaniu listopadowym.

„Gdy nam jeszcze sił nie starczy
Do dzwigania broni,
Niech łopata szybko warczy
W polskich dzieci dłoni.
March, march na wale
Z dorosłymi mały
Choć nieduże chłopcy
Możem wzniesć okopy.
Niech w szeregi wszyscy stają
Niech za nami leci,
Niech zobacza obce kraje
Co to polskie dzieci!”

— Sądzę, że zbliżamy się do określenia charakteru, czy w pewnym sensie poetyki polskiej pieśni żołnierskiej...

Tadeusz Worontkiewicz: — Prosta, szczerza, niekiedy zabarwiona humorem, a przede wszystkim autentycznie patriotyczna i głęboko wzruszająca. Może to nie jest odkrywcze, co powiem, ale z każdego tekstu przebiega jeden główny temat — głęboka

milość Ojczyzny, gotowość poświęcenia dla niej życia.

Stanisław Gerstenkorn: — Warto podkreślić, że pieśni żołnierskie zawsze nawiązują do najpiękniejszych i najwspanialszych tradycji narodowych. Również i w warstwie muzycznej. Emanuje w nich polska liryczna utwór. Wreszcie, mimo iż większość utrzymana jest w tempie marsza, to ten marsz brzmi zawsze jakoś inaczej — z polską. Nic w tym dziwnego, ponieważ nasz marsz, nigdy przecież nie był marszem zaborców.

— Wydaje mi się, że charakter materiału, ładunek uczuciowy i świadomość historii rodziły konieczność bardzo starannej realizacji?

Tadeusz Worontkiewicz: — Myśmy się niegdyś w dzieciństwie uczyli mówić równoległe z nauką wielu z tych pieśni, piosenek. O rozkwitających pękach róż, o wojencie, za którą idą chłopcy malowani, o sercu, co za wojskiem poleciało — słyszeliśmy już w dzieciństwie. Przed programem jasno sprecyzowaliśmy jego cel — wywołanie refleksji historycznej. Spowodowanie u widza zastanowienia się nad znaczeniem historii dla dnia dzisiejszego, związków z tradycją. Jakże piękna jest scena w „Weselu” Stanisława Wyspiańskiego, kiedy padają słowa do Panny Młodej „A to Polska właśnie”. Rozumiemy symbolikę tej sceny, równającej Polskę — sercu. W różnych okresach historycznych wiele serc przestawało bić na zawsze w ofierze dla Ojczyzny. Pamiętając o poległych chcieliśmy też pamiętać o własnych dzieciach, a więc o współczesnym młodym pokoleniu.

— Jakże konkretne decyzje dotyczące gospodarowania dźwiękiem i obrazem rozdzielił ten cel?

Stanisław Gerstenkorn: — Przede wszystkim staraliśmy się dobrać najlepszych wykonawców. Udało się to dzięki zespołowi solistów i chóru Teatru Wielkiego, Orkiestrze Filharmonii i muzykom z Orkiestry PR w Łodzi.

Solistów, wykonawców i w naszym odczuciu współtwórców sukcesu tego programu jest bardzo wielu. Tadeusz Kopacki, Zdzisław Krzywicki, Stanisław Michoński, (Stanisław Heimbürger, Zbigniew Jankowski), Antoni Majak, Andrzej Malinowski, Roman Werliński, także absolwenci Wydziału Wokalno Aktorskiego PWSM Grzegorz Caban, Janusz Marciniak, Cezary Godziszewski, (Andrzej Niemirów), Kazimierz Kowalski. Naprawdę trudno jest wymienić wszystkich.

Tadeusz Worontkiewicz: — I to się chyba nie uda. Myślę, że bardzo istotnym elementem programu było stworzenie jednolitej atmosfery muzycznej.

Stanisław Gerstenkorn: — Oczywiście. Może najlepszym przykładem do wyjaśnienia tej kwestii są te teksty, do których komponowaliśmy muzykę. Niekiedy piosenek mimo starań i poszukiwań, nie udało nam się odnaleźć. Nie chcieliśmy tracić tekstów, powstała więc konieczność stworzenia nowej muzyki, zgodnej z duchem i charakterem innych oryginałów, również i w sposobie jej aranżowania.

Tadeusz Worontkiewicz: — Przy czym nowe utwory stanowią niewielki procent programu i zasadniczo nie wpływają na jego wartość dokumentalną.

— Wykorzystanie filmowych materiałów archiwalnych było natomiast jednym z elementów budujących warstwę obrazową programu. Łączenie scen, nazwijmy to — inscenizowanych z autentycznymi, utrwalonymi na taśmie filmowej, jest zabiegiem o tyle niebezpiecznym, że może spowodować pewne dysonanse. Sądzę, że w „Polskiej pieśni żołnierskiej” tych niezgodności udało się Panom uniknąć zarazem nie tuszując tego, że wykorzystujecie archiwalia.

Tadeusz Worontkiewicz: — Zadecydowaliśmy sięgnąć do starych zdjęć w trosce o podniesienie atrakcyjności obrazu, siły jego wymowy. Przejęcia i łączenia tych dwóch typów materiału obrazowego inaczej jak sądzę, wyglądałyby w kolorze, inaczej na ekranach odbiorników czarno-białych. Jeżeli to się udało, to jesteśmy zadowoleni. Rzecz jasna nieco inną zasadę przyjęliśmy w „Listopadowych nadziejach”. Tu głównie sięgałmy do tradycji plastycznej, do Kossaka, Rożena. Na jednej z wersji obrazu „Bitwa grochowska” oparta jest właśnie w tym programie inscenizacja bitwy (pod Olszynką Grochowską).

Kolejnym elementem kompozycyjnym były wypowiedzi komentatorów II wojny światowej, znawców tematu, historyków. Formalnie służyły one jako cenzury między sekwencjami programu. Treściowo — wzbogacały jego aspekt dokumentalny, przypominały i przypominały wydarzenia. Już w samej kompozycji obrazów zarejestrowanych w programie bardzo wiele twórczej pracy wniósł operator — Wojciech Król. Przypominać musimy, że w pracy nad cyklem spotkaliśmy się z niezwykle interesującymi ludźmi. Byli to profesorowie: Stefan Kieniewicz, Włodzisław Kowalski, poeci, pisarze jak na przykład: Ernest Bryll, Stanisław Ryszard Dobrowolski, Janusz Przymanowski, czy nieżyjący już Melchior Wańkowicz. Także historycy wojskowi — pul-

kownik Leonard Ratajczyk, generał dywizji — Zygmunt Huszcza. Te spotkania wzbogacały nas.

Słowa uznania za niebywałą pomoc, opiekę i przychylność należą się Głównemu Zarządowi Politycznemu Wojska Polskiego, osobiście — pułkownikowi Władysławowi Czubię.

Zdzisława Hausner-Saar: — Dzięki decyzjom, pomocy i życzliwości GZP mogliśmy dotrzeć wszędzie. Oddane nam było do dyspozycji wszystko to, co wiąże się z wojskiem.

— Dotarliśmy do problemów organizacyjno-produkcyjnych. Ten program to, jak sądzę, swego rodzaju ewenement. Inszenizacje, wielkie ilości statystów, dbałość o szczegóły kostiumów, uzbrojenia itd. — to rzeczy codzienne w pracy nad filmem fabularnym, w telewizji bardzo rzadkie na taką, powtarzam, skalę. Jakże w związku z tym trudności musieliście Panowie pokonać?

Zdzisława Hausner-Saar: — Trudności? Były, ale tak to już jest, że straszne są wtedy, kiedy są, a kiedy uda się je pokonać zaliczamy je do czasu przeszłego i wspomnień.

Realizowaliśmy ten program w całym kraju. Dosiłownie. Od Gdyni po Kraków przez Kalisz, Dąbrynę, Skierświec, Aleksandrów i inne miejsca, których szukaliśmy na niezliczonej ilości dokumentacji. Kostiumy, uzbrojenie — to pomoc Wojska i Wytwórni Filmów Fabularnych...

— Podobno pani Zdzisława dowodziła „Byskawicą”, stała się też swego czasu właścicielką wsi?

Zdzisława Hausner-Saar: — To tak może wyglądało, ale... faktycznie na moje polecenia przygotowano okręt do zdjęć, zdejmowano brezentowe nakrycia z dział na „Byskawicy”.

Tadeusz Worontkiewicz: — Była również panią na Siedlarkowie...

Zdzisława Hausner-Saar: — ...i Łyszkowicach. Rzeczywiście podpisałam akt własności. Rzecz opierała się o stronę prawną. Siedlarków i Łyszkowice to dwie wioski, które będą wkrótce zalane wodami zbiornika „Jeziorsko”. Po wysiedleniach mieliśmy możliwość spalić „hałupy”, co było zgodne z założeniami scenariusza. Dla spalenia wsi potrzebny był akt własności i osoba prawnie odpowiedzialna. Podpisałam taki dokument i w ten sposób została „panią” na Siedlarkowie, „dziedziczką”.

A wracając jeszcze do motywu spotkań, to w czasie realizacji programu o wrześniu 1939 natknęliśmy się na cmentarz w Puszczy Kampinoskiej. Leżał tam żołnierz, który zginął w trakcie przeprawy nad Bzurę do Warszawy. Opiekęję się grobami ich frontowy kolega, wspomniał człowiek, niezwykle skromny. Wstyd mi było, kiedy po zniszczeniu przez ciężką kamerę i statystów kilku alejek, chciałam, jako kierownik produkcji podpisać z nim choć drobną umowę finansową. Mało się nie obraził. A wspominał to, bo i tacy ludzie są twórcami naszego programu. Program, w którym chcieliśmy przypomnieć, że:

„I tylko żołnierska piosenka
Po latach rozpieła się w głos
Melodia znajoma i tęska
Przypomni żołnierski nasz los...”

Są to słowa — motto ze wspaniałej antologii „Niech wiatr ją poniesie” Tadeusza Szewery, o której wspominaliśmy.

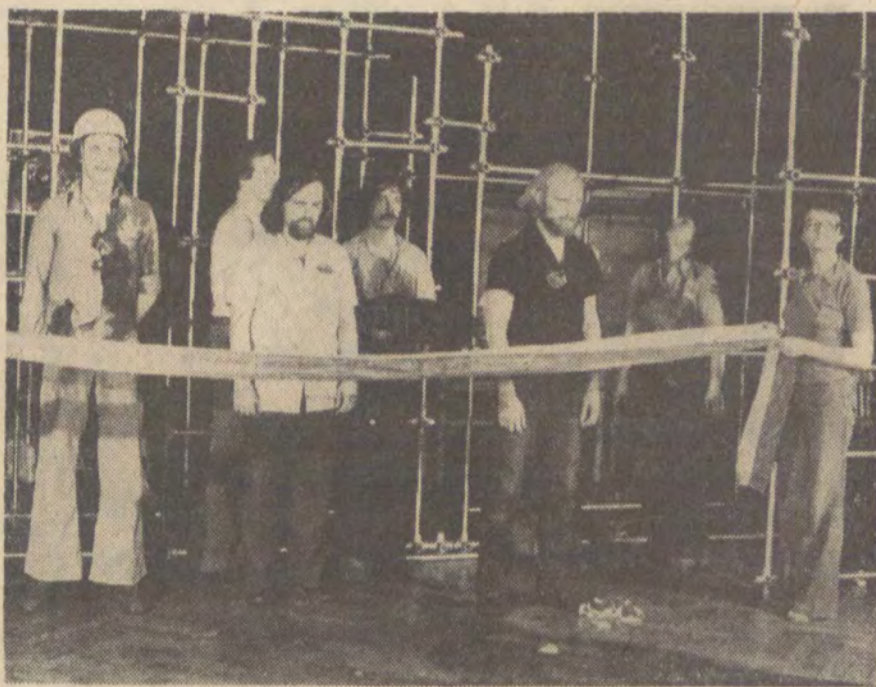
Rozmawiał:
PIOTR SŁOWIKOWSKI

Foto: W. Król

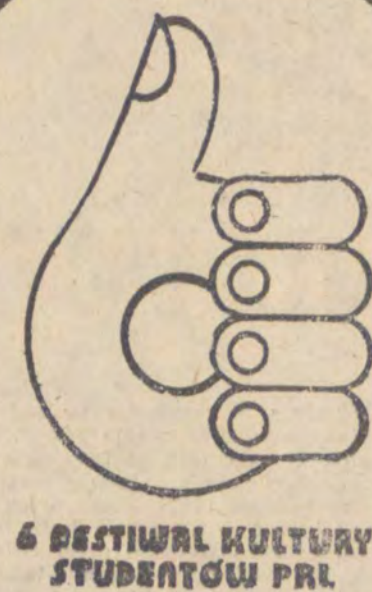


Tomasz Soldenhoff

odnalezione pokolenie



Spektakl „Budowa” Teatru „77” z Łodzi
Foto: Ryszard Lucysz



Kultura studencka... Od trzydziestu lat usiłujemy zdefiniować coś, co się wymyka wszelkiej definicji. Zwłaszcza pojęcie „studenckości” tej kultury zdaje się być nieuchwytne. Czy kultura studencka to ta, która jest tworzona przez czy dla studentów? I czy w ogóle można wyróżnić taką „subkulturę”?

Bo jeżeli można, to — rozumując logicznie — trzeba by się również zgodzić na istnienie odrębnych kultur piekarzy, dentystów, krawców itd., gdyż oni także — jak studenci — stanowią grupy zawodowe... A jeśli rację ma ten, kto powiada, że „student nie jest zawodem, tylko tworem przejściowym”? Co wtedy? Czy tym, co wyróżniałoby studencką kulturę byłaby właśnie przejściowość?

Pytań przybywa, ale odpowiedź oddala się... Może więc słuszość ma satyra gdy mówi, że kultura studencka jest czymś w rodzaju UFO, obiektem niezidentyfikowanym? A może ostateczną odpowiedź przyniosą badania uczonych? Powstał już we Wrocławiu specjalny zespół naukowców, który w ramach problemu węzłowego 11.1 — „Polska kultura narodowa, drogi jej rozwoju i recepcja” planuje — oprócz opisu najważniejszych dokonań — „próbę określenia specyfiki kulturowej środowiska studenckiego, stworzenia ogólnej syntezy zjawiska kultury studenckiej”...

Ale tymczasem — nim jeszcze poznaliśmy naukową definicję tego zjawiska — coraz częściej mówi się u nas o kryzysie kultury studenckiej.

Z KRZYWEJ PERSPEKTYWY

Kto najchętniej mówi o kryzysie? Oto wypowiedzi kilku przedstawicieli „średniego” pokolenia, świadków pierwszych triumfów studenckich teatrów i kabaretów, dziś znanych i szanowanych twórców i działaczy...

Krzysztof Teodor Toeplitz, krytyk i teoretyk kultury:

— Kultura studencka funkcjonowała kiedyś w bardzo znaczącym stopniu. Obecnie — może mam mniej kontaktów z jej uczestnikami — odczuwam wrażenie, że uległa ona sporemu ograniczeniu. Poza kilkoma fenomenami jak FAMA właściwie się o niej nie słyszy...

Stanisław Cejrowski, dyrektor Polskiego Stowarzyszenia Jazzowego:

— Kultura studencka? Kiedyś funkcjonowała...

Jacek Kalabiński, dziennikarz PR, korespondent PAP:

— Czy istnieje dziś kultura studencka, nie jestem pewien. Wydaje mi się, że coś takiego istniało wtedy, kiedy byłem studentem, co oczywiście zmienia perspektywę. Ale wtedy był okres świetności Bim-Bomu, STS-u. Wydaje mi się, że dzisiaj takich zjawisk nie ma.

Jan Ptaszyn-Wróbelski, muzyk jazzowy:

— Kiedy ja byłem studentem, młodzież akademicka nie prezentowała jakości profesjonalistów, nadrobiła wprowadzaniem nowych pomysłów. Obecnie uznaliby kulturę studencką za jeden z odmów amatorskiej, ponieważ jej założenia programowe nie wnoszą nic nowego...

Co łączy te wypowiedzi? Niewątpliwie nostalgia, ton tak typowy dla wspomnień cudownej młodości: „Za naszych czasów to bywało...” I wątpię, czy cokolwiek zdola wytrzymać konkurencję z sentymentalnym wspomnieniem...

Ale czy ze stwierdzenia KTT, że „właściwie nie się o kulturze studenckiej nie słyszy” można wyciągnąć wniosek, iż naprawdę nie się nie dzieje? Czy raczej, że komuś nie chce się poszukiwać, rozstrzygać wokół? Każde ma prawo ponarzekać, choćby i dziesięć lat nie był w studenckim teatrze, gorzej! Jeżeli z tego narzekania wyziera zwykła ignorancja. Wystarczy poczytać trochę takich wypowiedzi, by stwierdzić, że w parze z samozachwytem i mitologią idzie

jedynie kompletny brak orientacji w tym, co się obecnie dzieje. A kultura studencka — niestety — nie przyjdzie do nikogo wraz z przekreśleniem galki telewizora...

W utyskiwaniach na „kryzys kultury studenckiej” tym, którzy jeszcze pamiętają rok 1955 i debiuty studenckich scenek na warszawskim Festiwalu Młodzi, sekundują przedstawiciele pokolenia „trzydziestolatków”, czyli ci, których artystyczne debiuty przypadły na lata 1968–1972. By wyjaśnić przyczyny tego stanu rzeczy, cofnijmy się o parę lat...

„ZGINĘŁO JEDNO POKOLENIE...”

Kiedy w 1973 roku powstał Socjalistyczny Związek Studentów Polskich, pierwszym i najważniejszym jego zadaniami było budowanie trwałych, organizacyjnych struktur, kryształizacja ideowa, zdobywanie zaufania środowiska, umacnianie własnego autorytetu. Siłą rzeczy kultura musiała znaleźć się na dalszym planie. Problem kultury studenckiej sprowadzał się zatem do łapania wolnego czasu, organizowania rozrywk i wypoczynku.

W artystycznym ruchu studenckim dominowali nadal twórcy debiutujący jeszcze u schyłku lat sześćdziesiątych, którzy nie zawsze utożsamiali się z programem nowej organizacji, a stylem myślenia i działania coraz bardziej różnili się od najmłodszego pokolenia studentów.

Część twórców i zespołów, reprezentujących najwyższy poziom, zaczęła przechodzić na zawodowość. Powstała więc luka, ale jednocześnie nie było zaplecza, które mogłoby tamtych, „starych” zastąpić. „Zginęło nam gdzieś całe pokolenie twórców i działaczy” — jak to ktoś po paru latach ujął. Zachwiała się tym samym naturalna ciągłość studenckiej kultury.

W latach 1973–74 spadło wśród studentów zainteresowanie kulturą i twórczością artystyczną. Miejsce ambitnych poszukiwań zajęły dyskoteki i inne formy biernej rozrywki.

Kolejną barierę stworzył nowy, skrócony, a równocześnie przeladowany program studiów. Uczelnie coraz niechętniej patrzyły na artystyczną aktywność studentów, przypominając im na każdym kroku, że są cele ważniejsze. Wyczerpały się sta-

re formy pracy w klubach, nowych nie zdołano jeszcze stworzyć. Studenckie środowiska twórcze pogłębiały swój hermetyzm...

Zarazem, kiedy odeszli ze studenckiego ruchu ostatni, obiektywni jeszcze świadkowie „tamtych, dobrych czasów”, ich pozostali w organizacji koledy podsycały legendy i mity o wielkości i niedościgłości „tamtych” klubów, teatrów, kabaretów...

„Ten sztucznie wytworzony „kompleks Edypa” — napisał niedawno na łamach „MŁODEJ SZTUKI” — do datku artystycznego „Nowego Medyka” Jarosław Janowski — rzeczywistość zniechęcała środowisko studenckie, a „kapłani tamtych lat” zasiedający z racji swej dojrzałości i wieku w jury studenckich festiwali i konkursów, przykładali do każdej ocenianej propozycji miarkę wyśkalowaną od Młynarskiego po Kofkę, utwierdzając tym samym środowisko w coraz głębszym przekonaniu o własnym niedorozwoju i kształtując podobne opinie na zewnątrz. Pogubiło się w tym czasie wiele dobrze zapowiadających się zespołów teatralnych i kabaretów — zniechęconych, bo potępionych za to, że nijk nie chcieli się zmieścić między Kieffem a Golebiowskim. Nie mieli bowiem własnej krytyki, a od „tamtej” tylko taką furtkę otrzymywali. Ogólny ton dekadencji opanował w latach siedemdziesiątych cały obszar kultury studenckiej...”

Ten przydług może cytować dobrze jednak wprowadza w atmosferę nie tak odległych przecież jeszcze lat, kiedy to w środowisku studenckim „programowo” przestano dostrzegać sukcesy a przyczyn stagnacji doszukiwano się w nieświadomości „najmłodszego pokolenia, zamiast — w przytaczającej dominacji poprzedników i całej ich zmitologizowanej tradycji. Te mity i legendy — pogłosy sukcesów studenckiej kultury sprzed lat, nieraz zepchnęły w cień osiągnięcia roczników młodszych o lat dziesięć i więcej. Jak gdyby na najmłodsze pokolenie złożyli nieco starsi koledzy swoiste „embargo” — obejmujące zarówno inne myślenie, inną poetykę, jak i odmienną wrażliwość artystyczną.

KULTURA NA PIERWSZY PLAN

„Kiedyś było kilku znakomitych twórców studenckich, posiadających nowe koncepcje. Oni stworzyli środowisko” — przeczytałem w wypowiedzi jednego z przedstawicieli „średniego pokolenia”. Te dwa zdania świetnie charakteryzują typowe dla przeszłości myślenie. Zdradzają mechanizm wynoszący po latach parę legendarnych „gwiazd”. Lecz dla SZSP kultura studencka przestała być sprawą „kilku znakomitych twórców”.

Próbkę nowego rodzaju myślenia dają fragmenty wypowiedzi Zbigniewa Sawickiego — kierownika Wydziału Kultury Zarządu Głównego SZSP:

— „Uświadomiliśmy sobie, że kultura studencka nie należy mierzyć wyłącznie w kategoriach czynu artystycznego. Często powtarzam, że nie idzie o zrobienie z inżyniera piosenkarza. Dobrze jest natomiast, gdy przyszły inżynier coś zagrać czy zaśpiewać potrafi. Społeczne zyski z takiego faktu nie dają się obliczyć, ale są przecież ogromne. W szerszym aspekcie to jest właśnie najważniejszym zadaniem Związku. Nie wycyzni, choć taki często ma miejsce, ale właśnie rozbudzanie aktywności...”

I jeszcze jeden fragment: „Jest rzeczą oczywistą — mówi Z. Sawicki — że właśnie kultura może stać się najistotniejszym elementem wychowawczego programu SZSP, twórczym nośnikiem idei i podstawowych założeń organizacji. Dotychczasowa praktyka dowodzi, że przywykliśmy

do przypisywania kulturze studenckiej funkcji usługowej w stosunku do organizacji, często sytuując ją obok SZSP i to zarówno w sferze świadomości jej aktywu, jak i samych twórców. VI Festiwal Kultury Studentów PRL powinien uświadomić wszystkim, że działalność kulturalna w SZSP jest istotnym ogniwem programu organizacji i ważnym instrumentem wychowawczym, a nie jak dotychczas sądzono — systemem organizowania wolnego czasu...”

Pierwszą wielką batalią o zmianę odziedziczonego po poprzednikach sposobu myślenia na temat kultury — wewnątrz samej organizacji — był trwający przez cały rok akademicki 1977/78, a zakończony w dniach od 24 i 29 października poznańskim finałem VI Festiwalu Kultury Studentów. I choć wydaje mi się, że rozwój kultury studenckiej znajduje się wciąż jeszcze w okresie przejściowym, a na efekty starań o przełamanie zastanych schematów, mitów i nieodłącznej jak dotąd od życia artystycznego studentów elitarności, trzeba będzie jeszcze trochę poczekać, to jednak właśnie w Poznaniu byliśmy świadkami chrztu nowego pokolenia twórców i działaczy. Pokolenia, które — acz jeszcze bezimienne (i nazywane na razie skromnie „nowymi rocznikami”) — nie jest anonimowe.

O jednym wszakże musimy pamiętać próbując oceniać poziom finału i cały dorobek festiwalowego roku. Nawet finał nie mógł być tym miejscem, gdzie dominowałyby już wykrystalizowane, niejako gotowe wartości. Gros jego uczestników stanowili debiutanci, a zatem finał, mimo uroczystej oprawy, traktowany był jak najbardziej roboczo — przede wszystkim jako miejsce weryfikacji talentów. Czy była to weryfikacja wystarczająco ostro? — pokaże najbliższa przyszłość. Pokoleniowa „zmiana warty” dokonuje się może powoli, nie tak gwałtownie jak w przypadku starszych o 10 lat kolegów, ale systematycznie. Mecenat Socjalistycznego Związku Studentów Polskich stwarza coraz więcej szans najmłodszemu, ale już dojrzałemu pokoleniu studentów.

Nie sposób byłoby tutaj nawet wymienić wszystkie imprezy o charakterze ogólnopolskim, które odbyły się w ciągu festiwalowego roku. Przykładem działania ogólnej tendencji do przekształcania festiwali w przeglądy o profilu warsztatowym i rezygnowania z niezdrowej konkurencji na rzecz wspólnych poszukiwań twórczych, może być zmiana założeń największej dotychczas studenckiej imprezy artystycznej — świnoujskiej „FAMY”. Reformom wypróbowanych, ale często również już przestarzałych imprez, przyszłociu potrzeba nowego spojrzenia na „świętą” niejednokrotnie tradycję, konieczność ciągłego jej przewartościowywania, a przede wszystkim odmitologizowania tych jej elementów, które zamiast inspirować — ciągną.

Wielką inwestycją w najmłodszych była natomiast trwająca od początku festiwalowego roku Akcja „DEBIUT”. Szukano talentów na najniższych szczeblach organizacji: na uczelniach, wydziałach, poszczególnych latach studiów. W imprezach i akcjach objętych wspólnym hasłem „Pokolenie, które wstępuje” zaznaczył się mecenat Związku; dyskretny i wszechstronny. Ale na pytanie

JAKIE JEST TO „POKOLENIE, KTÓRE WSTĘPUJE?”

— „oczko w głowie” studenckiego mecenasa — niełatwo jeszcze odpowiedzieć. Szkic ujmujący owo pokolenie w ruchu musiałby być na razie — siłą rzeczy — zamazany, nieostry. Pierwsze wspólne rysy „nowych roczników” najwyraźniejsze są

jednak w miejscach, w których najmłodsze stają w opozycji do dorobku poprzedników.

Przemiany w studenckim teatrze ujawnił tegoroczny Festiwal Studenckich Teatrów Debiutujących „START” w Kielcach. Przedstawione tam propozycje zerwania z konwencją teatru politycznego lat siedemdziesiątych i stworzenia własnego języka scenicznego odczytać można właśnie jako wyraz sprzeciwu wobec dorobku dzisiejszych „trzydziestolatków”.

Także i w kabarecie nie tak znowu odległe jeszcze ideały zdają się tracić świeżość. Studencka publiczność chce się śmiać, ale nie chce, by był to śmiech płytki — jak dowcip, który jej dotąd serwowano, ten sam zazwyczaj niewybredny dowcip polityczny, którego posłuchać można w pociegu albo tramwaju. Najmłodsze pokolenie wyraźnie odrzuca tego typu „manifesty ideowe”, jakimś dla starszych roczników były choćby programy „Salonu Niezależnych”.

Ale nie kabaret, lecz piosenka bodaj najpełniej dzisiaj odzwierciedla sposoby i kierunki myślenia studentów. Nurt piosenki autorskiej staje się zapisem nowej, pokoleniowej wrażliwości, odbiciem nastrojów, ba, wręcz manifestacją ideową. Poniedziałek, Wolek, Kaczmarski, Gintrowski, Chyliński, Adamiak, grupa „Niebo” i inni śpiewają o tym, o czym myśli ich pokolenie, ale śpiewają własnymi głosami i na sposób poetycki. Odrzucają co prawda konwencje i standardy wewnątrzpokoleniowe, ale z tym co śpiewają każdy ma prawo się identyfikować, każdy ma prawo przyjąć ich głos równocześnie za swój. Hasłom swoich poprzedników przeciwstawiają zatem „nowe roczniki” szacunek dla tego przede wszystkim, co indywidualne, ale co zarazem wyczułone na etyczne zło w społecznym życiu; trudno więc byłoby nazwać to pokolenie obojętnym wobec tego, co polityczne i obywatelskie.

Potwierdził to przekonanie, moim zdaniem, nocny koncert piosenki studenckiej w czasie poznańskiego Finału. Reakcje kilku przynajmniej wykonawców i słuchaczy — jako całości, wspólnoty...

Przemysław Gintrowskiego powitał solowy okrzyk z sali: „Zaśpiewaj coś wesołego!”... Jaka była odpowiedź młodego artysty?

Gintrowski zaśpiewał po prostu piosenkę... zaangażowaną; tak by można ją określić, gdyby wyśpiewana w niej subtelna i bardzo osobista wizja Ojczyzny nie wymykała się znanemu — przynajmniej — nadużywanej nieco przy różnych okazjach, patetycznej i bezosobowej formule „zaangażowania”, (vide „konkursy piosenki i poezji zaangażowanej”). O tym, że młodzi ludzie szybciej dziś jednocy czasem trochę gorzka prawda i gorzka nad nią zaduma, niż kabaretowy wygłup, dowcip z tramwaju, pastisz na telewizyjną rozrywkę czy żonglerka gitar, świadczą gorące oklaski, jakimi żegnali widzowie piosenki Gintrowskiego, Waldemara Chylińskiego i Stanisława Zygmunt z warszawskiego kabaretu „Piosenkariat” (tych, moim zdaniem, najciekawszych nie pokazała jednak nasza telewizja w trzech — słownie trzech! — migawkach z VI Festiwalu — w programie „Tylko w niedzielę” 5 listopada...).

Towarzysząc koncertom i poetyckim prezentacjom skupienie i refleksje publiczności, które obserwując uczestnicząc w imprezach poznańskiego finału, czynią niezbędną nadzieję, iż wraz z wstępującym dzisiaj do teatrów, klubów studenckich i na estrady pokoleniem, wraca między ludzi potrzeba i ochota mówienia o sprawach prostych i zwyczajnych, w prosty i zwyczajny sposób.

ZŁOTY WIEK STEROWCÓW

Każdy z 20 pasażerów zapłacił po 3 tys. dolarów za bilet z Friedrichshafen w Niemczech do Lakehurst w stanie Nowy Jork i jeszcze uważał, że to zupełnie tanio za przywilej uczestniczenia w pierwszym historycznym locie pasażerskim przez Atlantyk. Lot był bardzo spokojny, talerze spadały ze stołów tylko raz, w czasie burzy. Podróż trwała tylko 111 godzin i 44 minuty. Natomiast w kilka dni później, w drodze powrotnej, pojawił się kłopot.

Pięć silników behalo 230-metrowego „Grafu Zeppelina” cała moca, kiedy dowódca statku zorientował się, że zamiast na wschód, powietrzny gigant cofa się z wolna na zachód. Szybkość sterowca wynosiła co prawda 80 km na godzinę, ale wschodni wiatr w porwach przekraczał setki.

W tym roku przypada 50 rocznica lotu, który był początkiem 9-letniej kariery „Grafu Zeppelina”. Przeciętnie on ponad milion mil robiąc 590 rejsów do Londynu, Kairu, Helsinek, Rzymu, Rio de Janeiro, Tokio i dookoła świata. Pierwszy pokonał Pacyfik w locie bez lądowania, latał nad Arktyką, pokonywał 144 razy Atlantyk, zrobił 48 okólnych rejsów z Europy do Ameryki Południowej i przewoził 16 tys. pasażerów spędzając 17 178 godzin w powietrzu, tj. ponad 2 lata. I wszystko to bez jednego wypadku, bez zranienia choćby jednego pasażera czy członka załogi.

Pierwsza na świecie pasażerska linia powietrzna zaczęła działać w 1900 roku dysponując 125-metrowym statkiem LZ-1, a zakończyła dwa razy większym LZ-129 znanym pod nazwą „Hindenburg”, który eksplodował w Lakehurst 6 maja 1937 r. powodując śmierć 36 osób. Po katastrofie „Hindenburga” żaden ze statków powietrznych „Zeppelin” nie mógł już nieść ładunku w powietrze. Dziś na świecie jest tylko 6 sterowców, z czego 4 należą do firm Goodvear.

Z czterech pasażerskich sterowców, które latały w okresie międzywojennym — dwa brzytviskie plus „Graf Zeppelin” i „Hindenburg” — „Graf Zeppelin” odniósł największe sukcesy. W 1929 r. mając na celu uzyskanie aplauzu opinii publicznej i wsparcia finansowego dla realizacji marzenia o światowej sieci sterowanych linii pasażerskich, Hugo Eckner „Grafem Zeppelinem” poleciał w rejs nad Morze Śródziemne (Rzym, Neapol, Kreta, Cypr, Jerozolimę) do USA — żeby pokazać, jakie to łatwe, a potem dookoła świata.

„Graf Zeppelin” odbył swą podróż dookoła świata w trzy tygodnie przełatając 21 tys. mil, pozostając w powietrzu blisko 300 godzin i rozwijając przeciętną szybkość ok. 100 km na godzinę. Wyładował w Lakehurst 29 sierpnia 1929 r. na dwa miesiące przed słynnym Czarnym Wtorkiem (na giełdzie nowojorskiej, który był początkiem wielkiego kryzysu — przypo. red.). „Graf Zeppelin” w szczytowym momencie swej kariery znalazł się w samym centrum chaosu gospodarczego, który ogarnął świat. Mimo to latał dalej.

W 1938 roku „Hindenburg” zbudowany po 6 latach ciupania funduszy, zaczął wraz z „Grafem Zeppelinem” kursować na trasie Europa — Ameryka Południowa dokonując 7 rejsów. W maju następnego roku słońca i tym samym zakończyła się też kariera „Grafu Zeppelina”. Władcy w Europie szykowali się do wojny, zaczynała się era samolotów.

Dr Hugo Eckner — kapitan „Grafu Zeppelina” — zmarł we Friedrichshafen w wieku 88 lat. Został pochowany na wzgórzu, z którego rozciąga się widok na białe zakłady Zeppelina, gdzie w czasie wojny produkowano części do rakiet V-2. Fabryka była zbombardowana w 1944 roku a potem odbudowana. Dziś robi się tu ciekawie.

„International Herald Tribune”



TOMASZ DOMAŃSKI

PARYSKI WEEKEND...

Dochodziła 22 w piątek

Mimo długiego czekania rozmiary kolejki uległy tylko nieznacznie zmniejszeniu. Na szczęście miałem dobre towarzystwo. W czasie mojej rozmowy z Nicole, podszedł do nas stypendysta — z Polski ze specjalnością „problemy ochrony środowiska”.

— Andrzej mi na imię! — przedstawił się. — Poznałem cię po tej czerwonej szkockiej, fanelowej kratce rodem z Juniora. Ja też mam taką koszulkę, za dużą zresztą, bo były tylko duże rozmiary. To dobrze odnależę rodaka na obczyźnie!

Widocznie zrobiłem niewyraźną minę, gdyż zapytał mnie czy z nim zgadzam.

— No tak, tak... zawsze tak jakoś przyjemniej. — Dodałem mrugając do Nicole, która nie rozumiała po polsku.

— No, a co ty też do kraju telefonujesz? — ciągnął. — Trzeba skorzystać, no nie? Za darmo i to w kapitalizmie! — dodał. — Ja to tu na rok przyjechałem, na taką wymianę naukową. Wiem co, wszystko to fajne, tylko języka nie znam. Półki co, to już dorwałem robotę. Dwa razy w tygodniu myślę i ustawiam butelki w takim małym sklepiu spożywczym w XVI dzielnicy. Niedużo bo niedużo ale zawsze te kilkaset franków wpadnie. Volkswagena chciałbym sobie kupić. Wujek z Anglii ma mi jeszcze trochę dolarów przysłać. A ty co? Gdzie pracujesz? Podłapałeś jaką ciekawą robotę?

Nie odpowiedziałem. — No to jak ty się starasz? Ty tylko tu tak turystycznie? A, a... ta dziewczyna co z tobą tu stoi to na pewno musi być bogata?

— Nie zgadłeś!

— A może ty już masz samochód?

— Kolejne pudło! — dodałem.

— Nie wiem nie rozumiem. — wykrztusił wyraźnie zawiedziony i zbity z tropu.

Doszliśmy już do samej kabiny.

Złota budka telefoniczna, w dodatku zepsuta na cały nadchodzący weekend, działała niczym magnes. Polscy studenci w Paryżu przekazywali sobie błyskawicznie informacje o mapie bezgotówkowych telefonów publicznych i później wystawiali godzinami by bezdewizowo połączyć się z Warszawą, Łodzią, Krakowem czy inną Zduńską Wolą. Czasami wystarczało, iż frankowa moneta ugrzęzła w telefonicznym gardle, by można było potem rozmawiać do woli z najbardziej odległymi zakątkami heksagonu. Stojący przede mną Amerykanin uciął sobie prawie półgodzinną pogawiedkę ze swoją „girl-friend” z Nowego Jorku.

Po naszym telefonie pożegnaliśmy prędko polskiego „naukowca”, który połączył się właśnie ze swoją rodziną.

— Jadziu, jesteś tam?... — wołał. — To ja, Andrzej, z Paryża!...

Siedzieliśmy w bretońskiej restauracji na Montparnasse, jednej z wielu jakie znalazły schronienie w XIV dzielnicy. Kończyliśmy właśnie drugą porcję „ichnich”, zresztą bardzo specjalnych naleśników — „Crepes bretonnes”. Były znacznie większe niż te, które robimy u nas. Cienkie, nie grubsze niż kartka papieru. Można je było jeść z brunatnym kasztan-

nowym kremem, konfiturą, nakrapiane pomarańczowym likierem, lub też zwyczajnie z cukrem. Nicole nalewała mi kolejną szklankę musującego, jabłecznego „cidre-u” i kontynuowała opowiadanie o swych rozlicznych pracach i swej filozofii życiowej. Zaczęła kiedyś studiować romanistykę. Potem przeniosła się na socjologię. Studiów nie traktowała nigdy jako celu swych marzeń. Do pracy też było jej się trudno przyzwyczaić. Skończyła jakieś kursy dla sekretarek, ale stukanie na maszynie przez osiem godzin nie interesuje ją na dłuższą metę.

Początkowo pracowała w dużym przedsiębiorstwie. Była sekretarką. Po przeprowadzeniu testów psychologicznych jej pracodawcy stwierdził, iż ze względu na brak stabilności w jej osobowości, nie jest ona dla nich interesująca. W czasie testu Nicole powiedziała, że lubi podróżować i że wcale nie myśli u nich pracować przez całe życie. Powinna była powiedzieć, że praca maszynistki jest bardzo ciekawa i że to ją najbardziej w życiu pasjonuje.

— Zresztą miałam już dość tego pisania. Teraz myślę o pracy lektorki języka francuskiego w Japonii. Może uda mi się pracować w Interlingua w Tokio. Ja naprawdę lubię podróżować.

Przez trzy miesiące była w Hiszpanii jako „baby sitting” (pilnowanie dziecka). Chodziła po zakupach. Konwersowała po francusku z panią domu.

Nicole przegląda codziennie „France-Soir” i „Figaro”, przebiegając oczami drobne ogłoszenia o zatrudnieniu.

— Na razie — mówi — nie mam stałego zajęcia. Udzielał trochę koprecytacji cudzoziemcom. Czasem jakieś godziny „baby-sitting”, szczególnie wieczorami. Robiłam już dużo rzeczy. Byłam kelnerką, bileterką w kinie porno, a nawet pracowałam w telewizji jako... sprzątaczką.

W tym kinie porno, to było nawet niezłe, czasem w jeden wieczór, szczególnie w okresie weekendu można było zarobić 200—250 franków. Bileterki we francuskich kinach nie mają stałego zarobku — uczestnicy seansów placą im napiwkami za wskazanie miejsca. Ponadto mają pewien procent udziału w zyskach ze sprzedaży słodyczy.

— Roznosiliłam też kiedyś ulotki reklamowe — opowiada — To głupia robota. Musisz wrzucać je do skrzynki na listy. Wracając do domu znajdujesz regularnie we własnej skrzynce więcej tego świństwa, niż normalnej korespondencji. Niewiele można na tym zarobić. Normalnie placą 10 franków za tysiąc wrzuconych ulotek. Jeżeli wrzuciłaś połowę do śmietnika to jeszcze jakoś wyjdiesz na swoje. Raz mnie nakryli, no i to już był koniec z ulotkami. A, zapomniałam ci powiedzieć, że aktualnie mam bardzo fajną robotę. Jestem tzw. „dame de compagnie”, lub też dokładniej chodzi o godzinne lekcje do pewnej samotnej i starej hrabiny. Jedynie co muszę robić to czytać jej książki. Czytałam ją zresztą już po raz czwarty. Za każdym razem, kiedy skończy, prosi mnie swym umiarkowanym głosem bym rozpoczęła od początku. Czasami mówię jej jakieś bzdury, by sprawdzić czy śpi. Śpi jak

zabiła. Biedna stara. Właściwie wszystko co potrzebuje to towarzystwa. Wychodząc znajduję zawsze na stole białe koperty z moimi frankami. „Metro-boulot-dodo” to nie dla mnie, ja nie mogę pracować „non-stop”. „Metro-boulot-dodo” to takie nasze określenie. „Metro” to znaczy, że do roboty jedziesz metrem i metrem z niej wracasz. „Boulot”, to właśnie robota, której mają zawsze za dużo, a „dodo” to słodkie „lulu”, czyli spanie po długim i ciężkim dniu. To było jedno z hasel studentckiego maja 1968 roku.

Sobota

Pamiętam wrześniowy sobotni poranek. Umówiłem się z Nicole na wspólne paryskie łażenie. Jasne, skąpane jesiennym słonecznym światłem fasady wysokich mieszczańskich domów. Kropelki miejskiej rosy rozsianej przez tłustą pomarańczową polewaczkę. Mam wrażenie, że wszystko wynurzyło się dopiero spod porannego przyszyka. Wpółśpiłone jeszcze paryskie uliczki XVIII-ego „Arrondissement”.

Niedaleko stąd Montmartre, a jeszcze bliżej Plac Blanche z Moulin Rouge i sąsiadujący z nim Pigalle. Po nocnej eskapadzie Pigalle jest pusty i zmeżony — podobny do źle umalowanej kobiety. Pośrodku nieduża fontanna o szarawym odcieniu. W tym dziennym oświetleniu, przy braku „feeri” kolorowych neonowych świateł, nie wyróżnia się niczym specjalnym.

Prostyutki odśpiają zarwaną noc. Właściciele paryskich sex-shopów nie otwierają interesów wcześniej niż około południa. Paryżanie odrabiają senne zaległości przeszłego tygodnia. Rozchodzi się zapach piekarni, francuskich długich, chrupiących i pękających powietrzem bagietek.

Nicole czeka na mnie w narożnej kafejce „Chez Martine”. To jedna z typowych 200.000 francuskich bistro. Jeżeli policzyć dokładnie to wypadnie ich jedna na 250 mieszkańców. Rogaliki i czekoladowe bułeczki mieszają się z zapachem mocnej kawy i truskawkowej marmolady. Na kremowej fasadzie domu słoneczne światło maluje impresjonistyczne wizje malarzkiego rozbudzenia.

Ulicą Lepic, wspinając się w górę Montmartru, w kierunku zabytkowego paryskiego miasteczka „Moulin de la galette”. Wąska uliczka ciężarna straganami pełnymi owoców, kwiatów, rybimięsa, i... nawoływani przekupniów zachęcających do kupowania. Te uliczne sobotnie kramy są paryskim relikwitem — częścią historii. Choć czasem łatwiej i taniej można kupić w super czy hipermarkiecie, Paryżanie z sentymentem robią tutaj swe sobotnie zakupy. Dawniej każda dzielnica miała taki swój „Marché”. Centralnym rynkiem stolicy były Halie — Brzuch Paryża. Dziś nie ma po nich najmniejszego śladu.

Na Placu Tertre malarze ci lepsi i gorsi rozkładają swe kramy w oczekiwaniu na turystów. Karykatury są tańsze niż portrety. Klejzowate olejne wieże Eiffla lub pseudonajwne, a ostatnio modne obrazy, czekają na forsyastych turystów.

— Może portret? — pyta z polską młody chłopak, noszący taką samą kręciastą koszulkę z Juniora jaką miałem wcześniej na sobie. To taki nasz znak umowny — rozpoznawczy! Gdziekolwiek jesteśmy...

— Tutaj trzeba przyjść późną jesienią — mówi Nicole. — „Wtedy naprawdę jest tu fajniej i taniej. Artystom też zimniej i z chęcią akceptują niższe ceny.

Za chwilę Holenderka z końską szczęką zasiada pozując do łatwej karykatury.

Zieloną „cytryną”, czyli francuskim rozklekociałym 2 CV, zresztą już 12-letnim i ciągle na chodzie, jedziemy nad Sekwanę. Z trudem znajdujemy parking nad brzegiem mętawo szarej rzeki. Wzdłuż nadbrzeżnego bulwaru bukińskie otwierają wieka metalowych skrzyń. Rozkładają stare książki, podręczniki sztychów, reprodukcje starych map. Obok zdobywcy współczesnej prasy seksu, dawne numery Playboyów czy Lui. Chodnikiem sunie różnorodny tłumek. Po nocy spędzonej w inkubatorach pokoi hotelowych turystów ruszają na podbój Paryża.

Japończycy fotografują paryskie niebo. Polacy szukają sklepów prowadzących sprzedaż ciuchów po obniżonych cenach. Paradują później obladowani torbami od Tatlego, szczęśliwi z dokonanego wyboru. Paryscy wędkarze siedzą wpatrzeni w brudną wodę marząc o złowieniu zdechłej ryby.

Siedzimy na ławce w Ogrodzie Tuilleries, opasanym nadsekaniskim bulwarem Rue de Rivoli oraz placem Concorde i budynkami Luwru. Zielone serce kaszlagłego miasta. Jest swego rodzaju paradoksem, iż ogólna powierzchnia zajmowana przez paryskie cmentarze — te ludzkie i zwierzęce, jest większa od tej, którą oddano parkom i ogrodom. Cmentarze są jedyną „woloną” przestrzenią miejską. Więcej ich także, niż obiektów sportowych. Na 20 cmentarzy przypada 17 stadionów. Chwała miastu, pisał z ironią francuski pisarz Jean Giro-

doux, które przeznacza więcej tlenów umarłym niż żyjącym.

W zamkniętej betonowym brzościem sadzawce, paryskie dzieci puszczają swe żaglowce, wynajęte u pobliskiego straganiarza. W kasztanowej alei, nieduże kucyki odbywają swój kolejny marsz na ślepo, używając grzbietu dosiadającego ich malucha. Frajda niedzielnego spaceru. Po zrobieniu nie więcej niż 200 metrów robią w tył zwrot i mimo klapek zakrywających im oczy wracają na miejsce startu.

— Przejazdka skończona — woła właściciel. — Następni proszę. Tylko dwa franki.

Zwir zgrzyta pod butami. Przez plac Concorde, dochodzimy do Champs — Elysées. U ulicznego sprzedawcy z niedużym pucyłowatym piecykiem kupujemy torbę kasztanów. Lekko zwęgloną, brunatną łuska parzy palce. Pod ciemną powłoką żółtawy środek o słodkim bananowo-kartoflanym smaku. W sąsiedniej alei, między złotymi o tej porze drzewami, można zaopatrzyć się też jeszcze w te inne zwykłe kasztany, takie co to można nosić w kieszeniach kiedy bolą kości.

Właśnie mijamy zielone plastikowe „klo” o secesyjnych kształtach. W środku „babcia” lub raczej „Madame de Toilette” z oprawionym w ramkę cennikiem. Cennik to uniwersalny. Można w nim znaleźć wyniki przemnożeń, dające opłaty nawet za 20 siusiujących jednocześnie np. grupy zorganizowane lub liczne rodziny, gdzie to pan domu płaci za wszystkich. A więc 20 x 0,50 Fr = 10.

W niedzielę

W niedzielę chciałem wpaść do państwa Lambert. Zatelefonowałem. — Tak trzeba. — Wizyty bez uprzedzenia tutaj się nie praktykuje.

Pani Lambert mówiła, że bardzo jej miło. Tylko właśnie dzisiaj są zajęci. Może innym razem. Mieliby czas za dwa tygodnie. Podziękowałem, mówiąc, że wyjeżdżam za kilka dni i że spotkamy się może w czasie mojego następnego pobytu.

Poszedłem na obiad do Chatier'a. Latwo tu trafić. Wejście od Faubourg de Montmartre, naprzeciw Hotelu Victoria, prowadzonego przez panią mówiącą po polsku, zaraz przy rogu bulwaru Polissoniere, w dziewiętej dzielnicy. Duże, wysokie wnętrza o drewnianych boazeriach przypominają handlowy kantor lub salę giełdową z końca ubiegłego stulecia. Znajomy Francuz, który polecił mi to miejsce dał mi papierową serwetkę firmową, na której znalazłem adres wypisany czerwonym drukiem.

Kelnerzy zmieniają papierowe obrusy nasiąknięte czerwonym winem i resztkami kawy. Czekamy kilka minut na wolny stółik. Atmosfera swojska. Ceny w miarę przystępne, jak na paryskie portfele. Rojno tu i gwarno.

Siedząca naprzeciw osoba okazała się Szwedką. Pracuje jako pomoc do dzieci w rodzinie francuskiej i mieszka niedaleko na mansardzie, w niedużym pokoiku dawnej „bony” z osobnym wejściem od schodów. — Pytała mnie o moje kulinarne typy.

Odradziłem jej ślimaki, do których miałem awersję po ostatniej historii opowiedzianej przez znajomego Włocha, który pracował kiedyś w jednej z londyńskich restauracji, gdzie serwował świeże „escargots” (ślimaki). Otóż domniemane świeże stwory, były rodem z puszek konserwowych tylko przed podaniem klientom wkładano je do mytych, lecz ciągle tych samych skorupki.

Ja sam, skwitowałem obiad banalnie prozaicznym stekiem z frytkami, trafiającym najczęściej na francuski stół. Po Paryżu można by błędzić bez końca. Teraz jednak zrobię małą przerwę, dla nabrania większego oddechu przed następnym weekendem.

W poniedziałek

Kiedy zjazałem rano do żółtej budki telefonicznej, znalazłem już tam montera przysłanego przez pocztę. Na pewno do następnego piątku zepsuje się jakaś kolejna kabina telefoniczna.

Foto: Archiwum

U PRZYJACIOŁ

W TEATRACH

Jedną z najbardziej znanych scen stolicy Kraju Rad — Moskiewski Akademicki Teatr Artystyczny obchodził swoje 80-lecie. Z tej okazji zastępowała radzieckiej kultury placówka otrzymała Order Rewolucji Październikowej. Początki MCHAT-u związane są z nazwiskami wybitnych twórców i reformatorów sztuki teatralnej Stanisława Wyspiańskiego, Stanisława Wyspiańskiego, Niemcewicza-Danczenki, Meyerholda. Teatr szybko zdobył uznanie, zwłaszcza dzięki inscenizacjom dramatów Czesława Gogola. Po Rewolucji rozpoczęli współpracę z teatrem Bułhakowa, Leonowa, Katajewa, obecnie m. in. Walentin Rasputin i Aleksander Gelman. Od 3 lat na czele MCHAT stoi wybitny aktor i reżyser Oleg Jefremow, szczególnie wiele uwagi poświęcający wspieraniu repertuarowi.

Staly repertuar Teatru Wielkiego w Moskwie składa się z przeszło 60 oper i baletów. W bieżącym sezonie (203) zostanie wzbogacony o kilka nowych tytułów M. in. „Złoty Renu” Wagnera, (będzie to pierwsza inscenizacja tej opery w ZSRR) a także opera-oratorium „Leniniana” moldawskiego kompozytora Eduarda Lăzăreanu. TW zaprosił do współpracy kilku wybitnych artystów zagranicznych, m. in. tancerza i choreografa M. Bejarta, który wystawi wieczór baletów I. Strawińskiego. W planach zagranicznych teatrów znajdują się występy we Francji, na Węgrzech, w USA, Kanadzie i Australii.

80-lecie Komsomolu znajduje szerokie odbicie w repertuarze i zamierzeniach moskiewskich teatrów. Jubileusz ten czerpie ze szczególną uwagą teatrnoszący imię tej organizacji. Jedną z jubileuszowych pozycji była premiera spektaklu „Granatowe konie na czerwonej trawie” wg sztuki Michaiła Szatrowa. W utworze tym wykorzystano m. in. tekst przemówienia Lenina na III Zjeździe, odbywającym się w sali, gdzie obecnie mieści się Teatr im. Komsomolu.

FILM I TELEWIZJA

Na warsztacie radzieckich reżyserów znajduje się wiele filmów zarówno kinowych jak i telewizyjnych, które już samymi tematami wzbudzają żywe zainteresowanie. Wymienimy chociaż kilka dla przykładu, obrazujących wszechstronność zainteresowań i poszukiwań twórców.

Ludowy Artysta ZSRR reżyser Lew Kuliżanow przygotowuje serial telewizyjny o młodym Marksie. Występują w nim aktorzy radzieccy, bułgarscy i z NRD. Akcja serialu toczy się w latach 1836–1848. Role Marksa kreuje artysta bułgarski Wenczesław Kisjow, a Jenny Marks — aktorka z NRD Renata Blume. Jednym z konsultantów filmu jest prawnik Marks.

Reżyser Witautas Zalakiavicius zakonczył zdjęcia do filmu o tragedii narodu chilijskiego „Cantauri”. Film, w oparciu o dokumenty, ukazuje ostatnie tygodnie poprzędkające faszyzowski pucz i śmierć prezydenta Allende we wrześniu 1973 roku. Powstał w koprodukcji z filmowcami czeskosłowackimi i węgierskimi, część zdjęć nakręcono w Kolumbii.

Anatol Zabołocki zrealizował film dokumentalny „Słowo matki” poświęcony pamięci Wasilii Szukszyn, słynnego pisarza, reżysera i aktora. Autor filmu jest operatorem, współpracował z Szukszynem m. in. przy nakręcaniu „Kalińskiej czerwonej”. Większość zdjęć do obecnego filmu powstała w atakcyjnej wiosce gdzie Szukszyn spędził swe lata dziecięce. Przed kamerą zabrali głos ludzie, którzy doskonale pamiętają swego ziomka. Do najbardziej wstrząsających relacji należy wypowiedź matki pisarza. Ostatnia powieść Hemingwaya „Wypły na Gólsfornie” sfilmował znany radziecki reżyser Anatol Efros. Głównie rolę odgrywają popularni aktorzy moskiewscy Ludomiła Gurczenko i Michaił Ulianow. „W utworze tym — powiedział Efros — pisarz porusza wiele ważnych spraw. Mówi o ludzkim dążeniu do szczęścia i miłości. Jest to powieść zawierająca wiele akcentów osobistych.

PROPOZYCJE WYDAWCÓW

Ukazała się trzecia książka z serii „Bohaterowie pomniejszych lat” opowiadająca o walkach na wszystkich frontach ostatniej wojny. Tom zawiera 99 szkiców i reportaży m. in. o słynnych dowódcach, marszałkach Związku Radzieckiego, ukazując także ich powojenne losy.

Zakończona została 4-tomowa edycja „Historii filmu radzieckiego” przedstawiająca narodziny, kształtowanie się i rozwój kinematografii Kraju Rad. W recenzjach podkreśla się, że dzieło to w sposób wyrazisty przedstawia rozwój narodowych kinematografii w poszczególnych republikach, przekonywająco polemizując z burżuazyjnymi teoriami o zahamowaniu rozwoju radzieckiej kinematografii w latach dwudziestych przez wprowadzenie metody realizmu socjalistycznego.

Wydawnictwo „Aurora” opublikowało album „Muzeum Rosyjskie”, zawierający sto kolorowych i czarno-białych reprodukcji najciekawszych eksponatów słynnej galerii. Album ten jest pierwszą pozycją z serii „podarunków wydawniczych” przeznaczonych dla uczestników i gości Olimpiady — 1980. W cyklu tym ukazują się także albumy poświęcone Ermitażowi, Galerii Trietkowskiej i Muzeum im. Puszkina.

ROCZNICE

Jubileusz 50-lecia święcił Zespół Pieśni i Tańca Armii Radzieckiej, najwykazy tego rodzaju zespół na świecie. W repertuarze zespołu znajdują się pieśni i tańce ludowe, klasyczne utwory chóralne, pieśni współczesnych kompozytorów, montaż muzyczny-literacki. Od 1946 r. zespół nosi imię swego założyciela — Aleksandra Aleksandrowa (autora muzyki do hymnu ZSRR), który przez 18 lat stał na czele zespołu.

...Meczety w północnej dzielnicy Teheranu, wieczór. Tłum składający się w większości z młodych ludzi, słucha w skupieniu kazania mullahy surowo osądzającego „despotyzm, którego ofiarą jest naród”, „eksploatację bogactw narodowych przez zagranicę”, „kompradorską ekonomikę”, „korupcję przywódców”. Wierni przerywają mullahowi okrzykami: „On mówi prawdę!” Wokół meczetu stoi kilka autobusów z oficerami i żołnierzami uzbrojonymi w pistolety automatyczne. Spokojnie słuchają słów mullahy, transmitowanych przez głośniki. Jest to jeden z nielicznych „upolitycznionych” meczetów, którego nie zamknęły władze...

Chociaż nierzadko ruchy narodowe obiektem są w formie wystąpień religijnych, to jednak u ich podstawy, jak informuje prasa irańska i zagraniczna, leży niezadowolenie ludności z ciężkiej sytuacji ekonomicznej, stałego wzrostu inflacji i kosztów utrzymania, wysiłku zagranicznego kapitału.

„Nie, kompromis jest niemożliwy! Nowe obietnice liberalizacji nikogo nie zadowolą. Potrzeba nam czegoś bardziej istotnego. Rząd chce wygrać na czasie”. Powiedział to znany „niegdys” działacz polityczny Iranu — Karim Sandżabi, w przeszłości minister w rządzie Mossadeka. Sandżabi był jednym z inicjatorów nacjonalizacji przemysłu naftowego w Iranie, a obecnie jest przewodniczącym Komitetu Wykonawczego Frontu Narodowego. Sędziwy, 75-letni działacz polityczny uważa siebie za stronnika starego przywódcy oraz „sukcesora zasad rewolucji w obronie konstytucji i walki o nacjonalizację przemysłu naftowego”. Sandżabi odmawia współpracy z reżimem szacha i niejednokrotnie był więziony. Inny wpływowi przedstawiciel irańskiej opozycji, dr Bachtijar, powiedział, że podczas demonstracji do dnia 8 września br. wojsko i policja zastrzeliły ogółem blisko dwa i pół tysiąca osób cywilnych. Bachtijar określił jako „absolutnie niemożliwe” jakiegokolwiek porozumienie z obecnym reżimem. „Potrzebny jest — powiedział dziennikarzom — neutralny, uczciwy działacz, cieszący się zaufaniem społeczeństwa, który by sformował rząd tymczasowy”.

Ludowa Partia Iranu (TUDE) zwróciła się z apelem do wszystkich sił opozycyjnych o stworzenie jednolitego frontu walki. Głównym celem działalności tego frontu powinno być — głosi apel — stworzenie koalicji narodowej przy współudziale wszystkich sił, które walczą o niezawisłość narodową, swobodę demokratyczną, uzdrowienie ekonomiki i polepszenie warunków życia narodu. TUDE proponuje wszystkim siłom politycznym i grupom, pozostającym w opozycji wobec obecnego reżimu, połączenie wysiłków i koordynowanie działań, żeby możliwie najszybciej zakończyć trwający kryzys. Jednocześnie partia podkreśla, że istniejący w kraju reżim nie jest w stanie rozwiązać ostrych problemów społecznych, z którymi boryka się kraj.

Budowa w centrum Teheranu imponującego i jednocześnie pretensjonalnego trzydziestopiętrowego gmachu, który miał być siedzibą jedynej legalnej partii Rastachiz (Partia Odrodzenia Narodowego stworzona w 1975 roku, rozwiązana w 1978 r.) jest zakończona. Ale nigdy nie odegra on wyznaczonej mu roli. Niedorzeczny

symbol manii wielkości jest dziś tylko jaskrawa ilustracja krachu polityki obecnego reżimu. Krach ten był widoczny już dwa lata temu, jednakże przywódcy Iranu beznadziejnie czepiali się tonącego okrętu, w który przekształciła się jedyna partia polityczna. Chcieli uczynić ją „bronią mobilizacji mas w służbie monarchii”. Nie mając jednak najmniejszego poparcia w narodzie, Rastachiz stała się areną walki o wpływy, którą liderzy dwóch frakcji — „konstruktywnej” i „postępowej”, stworzonych w celu „rozwinienia zdrowej konkurencji” — używali jako trampoliny dla osiągnięcia swoich prywatnych ambicjonalnych celów.

Zamieszki na ulicach popierane przez zwolenników opozycyjnie nastawionego przywódcy religijnego Ajatollaha Chomeini (jeden z przywódców muzułmanów-szytów, który stanowią większość ludności kraju. Od 1963 roku przebywa na emigracji. Ostro krytykuje obecny reżim), sukcesy masowej manifestacji w Teheranie w dniu 4 września, a przede wszystkim bratanie się demonstrantów z żołnierzami zaczęły niepokoić dowódców wojsk. Mówiono w związku z tym o propozycji powołania na stanowisko premiera gen. Oweisi,

IRAN

NADAL DEMONSTRACJE I STRAJKI

oficera tzw. twardej ręki, który zaopiniował we wrześniu 1963 roku powstanie szczytowego duchowieństwa. „Pałac z pewnością stracił kontrolę nad wydarzeniami” — mówili nie bez leku niektórzy przedstawiciele opozycji, obawiając się interwencji wojska i SAVAK. Obawy te nie były bezpodstawne: powołany ostatnio w Iranie rząd wojskowy (jego premierem jest gen. Azhari) przystąpił do generalnej czystki wśród działaczy opozycji, dokonując licznych aresztowań. Ajatollah Chomeini popęcił rząd wojskowy i wezwał Irańczyków do kontynuowania walki przeciwko monarchii.

Tymczasem fala strajków nie opada. Robotnicy żądają radykalnego polepszenia swojej sytuacji. W miastach, mimo stanu wyjątkowego i reżimu wojskowych, trwają demonstracje pod hasłem żądań praw politycznych i swobód obywatelskich. Strajki, w których uczestniczą setki tysięcy ludzi, sparaliżowały częściowo cały kraj. Porzucili pracę — o bok robotników — także pracownicy urzędów państwowych, personel szpitali, kierowcy autobusów i taksówek, nauczyciele, robotnicy i urzędnicy Isfahńskiego Kombinatów Metalurgicznego oraz Irańskiej Narodowej Kompanii Naftowej. Burzliwe demonstracje odbywały się we wszystkich wyższych uczelniach. Wykładowcy i studenci żądają zniesienia stanu wyjątkowego.

Ogromna skala tych ludowych ruchów i ich żywiołowość stanowią groźne niebezpieczeństwo dla rządów szacha. Być może, iż 58-letni monarcha utrzyma się jeszcze na tronie, niemniej polityczne i moralne koszty tej „galwanoterapii” władzy monarchii obciążają dziś szacha ponad wszelką miarę. Szach przeprowadził szereg reform, ale krytycy mówią, że zapomniał włączyć do swego „programu modernizacji” najważniejsze

reformy; demokratyzacji życia w kraju... Przypomnijmy przy okazji, iż w 1963 roku, w 10 lat od chwili, gdy przy pomocy USA, a ściślej mówiąc CIA, szach — powracając do władzy po obaleniu radykalnego rządu reform socjalnych — obwieścił „bezkrwawą rewolucję”, żeby wpręgnąć feudalne społeczeństwo Iranu w tryby zamierzeń industrializacji kraju, który nadal jest rolniczy mimo bogatych złóż ropy naftowej. Jednocześnie stworzył on, znów przy pomocy Stanów Zjednoczonych, wszechobecną tajną służbę pod nazwą SAVAK, żeby móc, tak jak dawniej, trzymać w żelaznym uścisku cały naród.

Jedną okoliczność w tej całej historii pozostaje niejasna: jaką rolę odegrał irański ambasador w USA, Ardesziz Zachedi, który 5 września przybył do stolicy? Niektórzy politycy utrzymują, że Zachedi przyleciał do Teheranu z określonym misją, a mianowicie „pobudzenia szacha do przeciwstawienia się fali rewolucyjnej nawet przy użyciu siły”, jednocześnie usiłując zalecać mu kontynuowanie jego „polityki liberalizacji”. Były premier Ali Amini powiedział korespondentowi dziennika „Le Monde”, że nie wyklucza, iż Pałac

ZNÓW PLAGA SZARAŃCZY

W tym roku w wielu krajach Wschodniej Afryki i Półwyspu Arabskiego odnotowano niebywałą inwazję szarańczy. Jak obliczają specjaliści, szkody w gospodarce rolnej spowodowane tą kłeską idą w setki milionów dolarów. „Latająca dzuma”, „Biczem Allaha”, „Diabelskim dywanem” nazywa szarańczę tamtejsza ludność. Życie tego szkodnika zależy od deszczu i wiatru. Bez wody nie może przetrwać na świat, bez wiatru nie może się przemieszczać — i grozi mu zguba.

Historia ludzkiej nędzy i niepowodzeń ginie w pomocy stuleci i szarańcza odgrywa w niej nieomal rolę. Począwszy od epoki kamiennej, kiedy ludzie zaczęli uprawiać ziemię i siał ziarno na chleb, toczy się walka z tym straszliwym szkodnikiem. Najstarszy rysunek szarańczy odkryto na grobowcu egipskiego faraona w Sakkrze, zbudowanym w 2400 roku przed naszą erą. Ostatnie masowe naloży szarańczy rozpoczęły się w 1941 roku i trwały niemal 20 lat. Kłeska przysłała z Indii, szarańcza przemieszczała się w kierunku zachodnim i spadała jak grom z jasnego nieba na Egipt, Sudan i rejon Rogu Afryki. Toczyła się II wojna światowa i wiele z dotkniętych kłeską rejonów znajdowało się w bezpośredniej bliskości frontu. Głód mógł być tutaj równie niebezpieczny dla miejscowej ludności, jak i dla wojsk sojuszników. O przetrwaniu żywności nie mogło być nawet mowy — szałki potrzebne były do innych celów. I tak powstał front przeciwko nowemu wrogowi — szarańczy.

W Anglii utworzono rządowy komitet do walki z szarańczę, który korzystał z bogatych doświadczeń pewnego uczonego entomologa, entuzjasty walki z szarańczę. W przeciągu paru lat stworzył on w rejonach atakowanych przez szarańczę stacje informacyjne. Od miejscowej ludności zbierał dane o skupiskach owadów i przekazywał je do Londynu, gdzie rejestrowano wszelkie ruchy szkodników. Wysiłki uczonego przyniosły rezultaty: postanowiono zaatakować szarańczę na Półwyspie Arabskim. Operację wykonywała specjalna paramilitarna organizacja, składająca się z 827 piechurów, operatorów radiowych, lekarzy itd. I oto w 1943 roku 360 samolotów wystartowało z Kairu, kierując się nad bezkresne pustynie Półwyspu Arabskiego. Ta jednostka „bojowa” wystąpiła bez broni palnej — tego życzył sobie rząd Arabii Saudyjskiej — niemniej posłała pewien rodzaj broni: tony truciźny zabijającej szarańczę. W Iranie, Indiach, gdzie „bicz Allaha” szczywał na głąb miliony ludzi, pomogła współpraca międzynarodowa. Do „operacji szarańczy” Związek Radziecki oddał 10 samolotów z obsługą, a także zabrali się uczeni, technicy, personel poczemniczy. I w końcu 1947 roku wynik tej wojny był przesadzony — szarańcza odstąpiła na całym froncie. Wprawdzie w 1967 roku „bicz Allaha” znów dał znać o sobie, ale dzięki międzynarodowej współpracy — wszystkie działania koordynowała wyspecjalizowana jednostka ONZ — udało się dość szybko zniszczyć jej skupiska. Niestety, w tym roku znów trzeba było uderzyć na alarm...

JERZY CZECH

(C)

■ BLIŻEJ ZAKAZU BRONI CHEMICZNEJ ■ TRUDNOŚCI W DIALOGU ■ PROBLEM DO ROZWIĄZANIA

Tematyka rozbrojenia jest bardzo rozległa. Naszą uwagę jednakże skupiają najczęściej dwustronne rokowania radziecko-amerykańskie w sprawie ograniczenia zbrojeń strategicznych oraz wielostronne, dotyczące wzajemnej redukcji zbrojeń i sił zbrojnych w Europie środkowej. Dziś chcemy natomiast zatrzymać się przez chwilę na jeszcze innych rozmowach — w sprawie zakazu broni chemicznej. Kwestia ta jest obecnie rozpatrywana przez Komitet Zgromadzenia Ogólnego ONZ jako pilna, a ma już swoją dłuższą historię.

Radziecko-amerykańskie rozmowy na ten temat zaczęły się w sierpniu 1976 r. (uzgodniono ich podjęcie w 1974 roku) i w pierwszym okresie — na żądanie USA — ograniczały się do dyskusji, o najbardziej śmiertelnych rodzajach tej broni. Dopiero niedawno osiągnięto porozumienie, aby opracować projekt konwencji, zakazującej badań, produkcji i gromadzenia wszystkich typów broni chemicznej.

W toku dyskusji wiele trudności sprawiało ustalenie zasad kontroli, jak przestrzegane będą porozumienia. Ale

i tu zarysował się postępek — uzgodniono, że niezbędne jest połączenie narodowych i międzynarodowych przedsięwzięć kontrolnych. Nie udało się natomiast rozwiązać innej sprawy — nadzoru nad niszczeniem zapasów broni chemicznej i ograniczaniem produkcji. Mimo to panuje przekonanie, że osiągnięty postępek w Genewie zbliża dzień zawarcia takiego układu.

Nie trzeba Czytelnikom wyjaśniać, jak istotnym krokiem na drodze rozbrojenia byłoby wyłączenie spod prawa chemicznych środków prowadzenia wojny. Dlatego dyskusja o zakazie broni chemicznej jest ważnym elementem całego problemu. Jak ważnym — niechaj świadczy fakt, że nie tylko w odległej przeszłości, ale również po II wojnie światowej uciekano się do tej groźnej broni. Mamy tutaj na myśli stosowanie środków chemicznych przez Stany Zjednoczone w wojnie w Korei i Wietnamie.

A teraz znów powróćmy do problemu bliskowschodniego.

O szczytach państw arabskich w Bagdadzie pisaliśmy przed tygodniem. Zakończył się on pewnym kompromisem

wobec tych państw, które przeciwstawiały się kategorycznym sankcjom wobec Egiptu za podjęcie przez niego separatystycznych rozmów z Izraelem i przygotowywanie dwustronnego traktatu. Tak przynajmniej wynikałoby z komunikatu po obradach. Ale właśnie ujawniono, że są jeszcze uzgodnienia, których nie podano do publicznej wiadomości, a które wejdą w życie, gdy Egipt traktat ów podpisze.

Tymczasem napływające z Waszyngtonu nieoficjalne informacje świadczą, że rozmowy egipsko-izraelskie napotykały wiele trudności. Ich powodem jest stanowisko Tel Awiwu, który dialog prowadzi z pozycji siły i usiłuje wytargować do Kairu nowe, zasadnicze ustępstwa. Do części z nich przystał się w wywiadzie prez. Sadat, oświadczając, że poszedł na nie w celu zbliżenia stanowisk. Zdaniem wielu obserwatorów — kapitulancja polityka kierownictwa egipskiego zachęca Izrael do wyjścia poza uzgodnione już ramy porozumienia.

Kolejnym tematem naszego przeglądu wydarzeń będzie Cypr.

Podjęcie tematu wynika z debaty, jaka toczy się na forum ONZ w kwestii cypryjskiej. Jak wiadomo — stan, utrzymujący się na wyspie, grozi ciągłą ponowną eksplozją, gdyż nie stworzono podstaw do trwałego uregulowania problemu.

W debacie Polska przedstawiła swe stanowisko. Oto ono:

Sytuacja na Cyprze nie jest zgodna z powszechnym dążeniem do elimino-

wania zarzewia konfliktów. W celu szybkiego rozwiązania kwestii trzeba powrócić do rezolucji Rady Bezpieczeństwa i Zgromadzenia Ogólnego, które określały wszystkie elementy całościowego i sprawiedliwego rozwiązania konfliktu. Chodzi tu zwłaszcza o: poszanowanie przez inne państwa suwerenności i integralności terytorialnej republiki, zaprzestanie wszelkiej ingerencji oraz pilne podjęcie konstruktywnych rokowań między przedstawicielami dwóch wspólnot narodowych — pochodzenia greckiego i tureckiego — zamieszkujących wyspę.

Polska opowiada się za zwołaniem międzynarodowej konferencji pod auspicjami ONZ w sprawie Cypru, na której można by ustalić gwarancje niepodległości kraju.

W czasie, gdy toczy się wspomniana debata, w siedzibie NATO napłynęły wiadomości o ogromnym zainteresowaniu paktu północno-atlantycznego Turcją. Łączy się to z wydarzeniami w Iranie i obawą, że reżim w tym kraju upadnie. Z tych względów chce się zbliżyć Turcję — udzielić jej szerokiej pomocy, doprowadzić do nowego porozumienia amerykańsko-tureckiego o współpracy i spełnić wiele zadań Ankarę. Piszemy o tym dlatego, że wszystko to może nie pozostać bez wpływu na rozwiązanie problemu cypryjskiego. Po prostu Turcja może uszytnąć swe stanowisko.

W. SŁAWSKI

JAK ZAPAMIĘTAŁAM WARSZAWĘ

(Poniżej drukujemy tekst znanej pisarki Zofii Lorentz, autorki wielu książek o Warszawie, która była świadkiem wydarzeń w oblężonej stolicy i konfrontuje je z filmem Andrzeja Trzosa-Rastawieckiego)

Kiedy dowiedziałam się, że któryś z reżyserów kręci film o prezydencie Starzyńskim, przestraszyłam się nie na żarty. Z przyczyn zasadniczych. Kiedy zaś wszedł już na ekran, wzdrygałam się z obrzydzeniem go. Po prostu bałam się swojej reakcji: sądziłam, że się zanadto wzruszę, nawet spłaczę, gdyż nie mam już ani tych sił, ani nerwów, aby uirzeć raz

jeszcze i przeżyć choć w miniaturze to, co widziałam i przeżywałam — wtedy...

Podświadomie bałam się jednak także czegoś innego: spłylenia samego tematu, fotograficznego ujęcia miasta, ludzi i wypadków. Ale tylko ta moja druga obawa okazała się słuszną. Bo coż to zobaczyłam: koturnowa postać Prezydenta bez bliźszego kontaktu z ludźmi i miastem, i dziwne ulice Warszawy z walacymi się rzędem kamienicami i gromadą mieszkańców, niemal oszalałym z przerażenia, tłoczącym się bezradnie w niekierowanych jeszcze bombami punktach. A to test obraz z gruntu fałszywy: ulice War-

szawy żyły przez cały czas oblężenia Warszawy (z wyjątkiem dnia 25 września) niemal normalnym życiem. Każdy gdzieś biegał, pełnił jakąś funkcję, z czymś wesołością, dokądś należał, coś świadczył. Jeżeli nawet siedział chwilowo w piwnicy, to jeszcze nie wstygł odłamki bomb i pocisków, jak już biegł zbierać rannych, stwierdzić, w co trafił, gdzie się pali, dowiedzieć się czegoś nowego, odwiedzić znajomych czy krewnych, aby sprawdzić, czy ma jeszcze dach nad głową, posłuchać, co widzieli ci z OPL (obrona przeciwlotnicza) polecieć pod magistrat, pod radio, bo może znów będzie mówił Prezydent, stanąć w ogonku po chleb, bo tu i ówdzie go wyplekała, albo po zupę adzielejadzie w bramach wydawana. Wszystkim tym poczynaniom także często towarzyszył ochrypły głos Prezydenta, nawołujący do wytrwania, głos który pobudzał do aktywności, do zachowania spokoju, informował o sytuacji, nie ukrywając prawdy, wyrażał sens walki, dodawał otuchy, krzepił i pocieszał...

Ulice były wprawdzie porzucane przez barykadami, chodniki powyrwane, jezdnie pokryte lejami bomb...

nikomu to jednak nie przeszkadzało w bieganiu po mieście. W czasie nalołu nie raz nie dwa ci z OPL musieli siłą narażać ludzi do bram, które pełniły rolę schronów.

Ulice Warszawy w filmie pana Rastawieckiego są puste albo kłębiące się przerażonym tłumem. Starzyński pana Łomnickiego ma kamienną maskę na twarzy. Nie widać go jadącego lub przechodzącego ulicami zawalonymi gruzem a witanego okrzykami przez ludność, która widziała w nim jakiegoś ostate. Nie widać go odziedziczonego żołnierza na linii frontu na pierwielach miasta.

Jedno tylko wiadomo z filmu na pewno, że nie godził się na kapitulację. Ale, nieświadom rzeczy, widzę sobie najwyżej: „Ależ się unosi ten Starzyński, żeby nie oddać Niemcom Warszawy! I nikt go w tym postanowieniu nie poparł: wszyscy temu równi uciekli, a on chociaż też mógł zabrać meble i wyjechać w porę, jak tamci tego nie zrobili. Czy już dlatego ma być bohaterem?”

Pracowałam w tym czasie w szpitalu polowym Dowództwa Obrony Warszawy. Początkowo dyżury trwały

zaledwie 7 godzin, miałam więc czas biegać po mieście. I biegałam. I tyle spraw i ludzi widziałam na własne oczy: nosił miód Prezydentowi (jak wiele innych kobiet), gdy ochrypły, wysilając głos w przemówieniach radiowych, dźwiękami rannych po nalołach, którzy pytali czy są wiadomości z frontów uczestniczyłam w cwieczornych modlitwach podwórkowych, słuchałam zespołów muzycznych przygrywających po ulicach, gdy ustawały naloły...

Film pana Rastawieckiego nie jest filmem o bohaterskim prezydencie Starzyńskim, ani o wrześniowej Warszawie. Przynałmiel w odczuciu i ocenie tej uczestników, jeżeli nawet nie biorących bezpośredniego czynnego udziału w tej obronie, to chociażby widzów.

O artystycznych walorach filmu, szczególnie zaś o udanym łączeniu zdjęć dokumentalnych sprzed czterdziestu lat z sekwencjami, powstałymi wówczas, których bnałmiel nie neguję. Pisali inni.

ZOFIA LORENTZ

DOBRY POCZĄTEK

Przed paru miesiącami głośno było w naszej prasie o inicjatywie, podjętej wspólnie przez uczonych polskich i radzieckich, mającej na celu opublikowanie drukiem nowo odnalezionych źródeł do dziejów polskich ruchów społeczno-politycznych w okresie międzywojennym. I oto mamy przed sobą zapowiadany wówczas pierwszy tom nowego, nad wyraz cennego wydawnictwa. Seria ta nosi ogólny tytuł: „Polskie ruchy społeczno-polityczne i życie literackie 1832—1855. Studia i materiały”, zaś tom, który właśnie otrzymaliśmy, zatytułowany jest: „Stowarzyszenie Ludu Polskiego w Królestwie Polskim. Gustaw Ehrenberg i „Świątokrzyż”. Został on opublikowany w Wydawnictwie Ossolińskim pod auspicjami, aż czterech placówek Polskiej Akademii Nauk — Instytutu Badań Literackich, Insty-

tutu Historii, Komitetu Nauk Historycznych i Komitetu Nauk o Literaturze Polskiej oraz znanego nam dobrane Instytutu Słowianoznawstwa i Bałkanistyki Akademii Nauk ZSRR. Redaktorami wydanego z tegoroczną datą (1978) tomu są: wybitny uczyony radziecki, znawca naszej historii Włodzimierz A. Dżakow, oraz historycy polscy: Stefan Kieniewicz i Wiktoria Słiwowska.

Wydany właśnie tom inauguruje serię wydawniczą, stanowiącą owoc interdyscyplinarnej współpracy badaczy polskich i radzieckich. Celem serii jest — jak o tym czytamy w słowie od komitetu redakcyjnego — „i. dokonanie syntetycznego przeglądu istniejącego już zasobu wiedzy o dziejach ruchu społecznego w omawianym okresie i jego powiązaniach z procesem literackim; 2. udostępnienie czytelnikowi najbardziej ważkich

i ciekawych materiałów źródłowych, uzupełniając te publikacje omówieniem całokształtu nasuwającej się w związku z nimi problematyki i jej bazy źródłowej w rozprawach, przeglądach źródeł i obszernych komentarzach samego tekstu”.

Na lata 1978—1985 przewidziano ukazanie się drukiem następujących tomów serii:

1. Spółczesność polskie i próby wznowienia walki zbrojnej w 1833 r.;
2. Stowarzyszenie Ludu Polskiego w Królestwie Polskim. Gustaw Ehrenberg i „Świątokrzyż”;
3. Rewolucyjna konspiracja w Królestwie Polskim 1840—1845 r. Edward Dembowsky;
4. Polska w 1846 r.;
5. Warszawska organizacja 1848 r. Kółko Entuzjastek i Entuzjastów;
6. Literatura i konspiracja 1832—1855;
7. Ruch społeczny w Królestwie Polskim 1830—1850. Słownik bibliograficzny.

Opublikowany właśnie tom jest więc drugim z kolei w ogólnym porządku nowej serii. „Przedmiotem studiów i rozpraw — powiadamia czytelnikowi komitet redakcyjny — są największe organizacje spiskowe

oraz próby wznowienia walki zbrojnej w 1833 i 1846 r., a także poezja rewolucyjna i w ogóle tzw. zakazana literatura, rozpowszechniana wśród uczestników ruchu wywołańczego”. Zarówno tom ogłoszony właśnie w druku, jak i inne — zapewne jednak nie wszystkie — mają się dzielić na dwie części: pierwszą — zawierającą studia i rozprawy, dotyczące prezentowanych zagadnień, oraz drugą — która przyniesie publikację nowych źródeł. Pochodzą one w przeważającej części z zespołów archiwalnych działających w okresie międzywojennym na terenie Królestwa Polskiego sądów wojskowych, oraz ich władz zwierzchnich, przechowywanych obecnie w Moskwie, w Centralnym Państwowym Archiwum Wojskowo-Historycznym ZSRR. Materiały te jedynie w minimalnej części były dotychczas wykorzystywane przez historyków. O tym zaś, jak wiele można sobie po nich obiecywać, świadczyć znane nam rezultaty badań Włodzimierza Dżakowa nad Piotrem Ściegiennym. Pisałszy swego czasu o rewolucyjnej książce wybitnego uczonego rosyjskiego o Ściegiennym, opartej właśnie o nie znane dotąd materiały, po-

chodzące z tych zbiorów archiwalnych, z których obecnie czerpać będzie pełnym rekoma zespół badaczy, opracowujących szczegółowo zainicjowaną, nową serię wydawniczą.

Tom poświęcony Stowarzyszeniu Ludu Polskiego, Gustawowi Ehrenbergowi i „Świątokrzyżom” zawiera w pierwszej części, oprócz przedmowy Piotra Stefana Kieniewicza, rozprawy i studia tak znanych badaczy radzieckich i polskich, jak Włodzimierz Dżakow, Wiktoria Słiwowska, Maria Janion, Bolesław Łopuszański, Włodzimierz Borys, Igor Niefiedow, Bolesław Szosakowicz i Dora Kacnelson. W części materiałowej przynosi on dokumenty programowe oraz teksty agitacyjno-propagandowe Stowarzyszenia Ludu Polskiego, materiały zeznań śledczych i protokołów konfrontacji, wreszcie wybór korespondencji władz zaborczych i konfirmacje wyroków. Całość została opatrzona bardzo szczegółowym indeksem nazwisk. Dokładnie o treści tego nadzwyczaj interesującego, ważnego dla naszej nauki historycznej tomu, wypadać nam powiedzieć w innym felietonie.

ANDRZEJ F. GRABSKI

HENRYK WANIEK

W bardzo racjonalnym świecie nas otaczającym, wszystko co w różny sposób odwołuje się do magii i tajemnicy — jakby dla przekory — cieszy się spora popularnością. Poczytność horoskopów, książek von Däniken, sukcesy filmów o ezoteryzmach czy odgrzebywanie z biblioteki dziadków przepowiedni Sybilli są przekonywawczym dowodem, że potrzebą konfrontacji z Nieznanym jest również silna, co zdrowy rozsądek.

Artysty wiedzieli o tym od dawna, znacząc wyprowadzając pod tym względem psychologów i socjologów. Symbolizm z metaforyką przewijał się nieustannie poprzez dzieła sztuki. Pełniły przy tym podwójną rolę: z jednej strony zaspokajały emocjonalne potrzeby; z drugiej — porządkowały i przyswajowały polewanie się nowych kierunków. Oglądanie się w przeszłość odwołanie do tradycji czy szukanie nowych (lub tylko innych) form dla uniwersalnych treści było zabiegiem popularnym.

W taki właśnie świat, pełen tajemniczości, zaprasza swoim malarstwem Henryk Waniek. Perfekcyjna technika i nastrojowy kolor znakomicie podkreślają klimat obrazów, na których surrealistycznie zestawione antyczne motywy uzupełnione są renesansowym włoskim pejzażem, przewidywmy szczytami rodem z kregu Memlinga i kontemplacyjnymi nawiązaniami, jakich wiele można odnaleźć na barokowych Vanitas.

Wszystko to cieszy się zainteresowaniem i szczerze wyrażanym uznaniem widzów. Trudno w tej sytuacji uwolnić się od refleksji nad przyczynami sukcesu malarstwa, które zdaje się spełniać wszystkie warunki dobrej recepcji i odpowiadać na autentyczne, „społeczne” zapotrzebowanie.

Część odpowiedzi (która z natury rzeczy nie może być jednoznaczna) wynika z powodów już uzasadnionych: Henryk Waniek za pomocą każdego z widzów komfort

intymnego kontaktu z Nieznanym, do tego jeszcze w atmosferze poetyckiej kontemplacji i refleksji. Sposób narracji jest niczym innym, jak łagodnym graniem na strunie sentymentu dla „środdziennomorskich „korzec” antyku. Zapozyczenie ze starożytności jest niezawodnym chwyt — u mieszkańca odczuwającego mieszkających aglomeracji budzi tęsknotę do humanizmu i wywołuje zadumę nad lenizmi, minionymi czasami naszej cywilizacji.

Wyraźnie sformułowane zaproszenie do badzenia po metafizycznych labiryntach budowli i bezkresnych równinach rozświetlonego pejzażu działa jak łagodzący balsam na widzących przychodzących do wystawowej sali prosto z hałaśliwego, rozgorączkowanego świata ulic. Malarstwo to budzi radość jak wspomnienie szczęśliwego dzieciństwa. Mnij doświadczonego odbiorcy cieszy zewnętrzna uroda, ale dla wtajemniczonych lub takich co przymia zaproszenie malarza — okazuje się być wielowarstwową „strukturą pełną metafor, przenosi i podtekstów — możliwych jednak do rozszyfrowania. Wobec takich obrazów trudno czuć się niekompetentnym i zadowolonym. Przeciwnie: ciępiły sentyment wywołuje fakt, że składała się z tych samych motywów, które u każdego tkwią gdzieś, jak okrychy w pamięci: tutaj spotykamy je uorządkowane na nowo i atrakcyjnie opracowane.

Na wielu obrazach można odczytać nutę pesymizmu i chęć ucieczki przed „ziemią” tego świata. Ona także precyzyjnie trafia w ukrywany na co dzień kłębek emocji: ten sam, który w zmieniającym się jak kaleidoskop świecie każe po cichu tęsknić za czymś trwałym, godnym zaufania. Ci, którzy wobec rzeczywistości czują się w gruncie rzeczy bezbronnymi łatwo znajdą w sobie język z artysta proponującym chwilowo choćby zapomnienie.

Krytyka nieraz już podchwytowała jako ciekawostkę fakt, że malarstwo Wańka pozbawione jest człowieczeństwa. Według artysty — w miejsce tradycyjnego sztafażu sam odbiorca, połączony z obrazem intymna wieża, uzupełniałby peaż humanistycznej treści. To na pozór idealistyczne założenie wydawało się całkowicie sprawdzające. Obrazy Wańka, a nie tylko pozbawione człowieczeństwa, nie ma w nich przede wszystkim technokratyzmu i depresyjnej nowoczesności. Nic nie jest zdeformowane i zniekształcone, sponiewierane i odbrązowione. Szacowne wartości znajdują tu należne sobie miejsce, dawne

idealny sa respektowane, stare prawdy żyją na nowo.

Malarski sukces Henryka Wańka nie byłby może tak oczywisty gdyby nie fakt, że w odczuciu większości widzów wsołocześnie wystaw ostatecznych iero koledzy postępują akurat odwrotnie. Transformacja rzeczywistości stała się nadrzędną regułą w sytuacji, gdy sama rzeczywistość jest już dostatecznie zniekształcona „cywilizacyjnymi przorstami”. To z kolei jest powodem rzeczywistego znużenia i zniechęcenia odbiorców, którzy z tym wiekszą łatwością identyfikują się z malarzem proponującym inną drogę.

Trzeba jednak zarazem podkreślić, że jest to propozycja dość zdradliwa. Mimo wszystkich walorów, jakie łatwo można przypisać malarstwu Wańka jest ono równocześnie nazbyt tradycyjne, „miejscami mocno „przesłodzone” kolorystycznie i przegadane. Większość obrazów (być może całkiem świadomie) stylizowanych jest na starożytność oleodruku, swolste następuje antyku i renesansowej tradycji. Trudno jednak czynić z tego zarzut wobec faktu, że właśnie Henryk Waniek, a nie awangarda (jest oglądana z satysfakcją

ANDRZEJ MAJER

„LALKA” RYSZARDA BERA

Ostatniej niedzieli pozegnaliśmy się z „Lalką”, 9-odcinkowym serialem telewizyjnym Ryszarda Bera nakreślonym na podstawie jednej z najznakomitszych powieści w literaturze polskiej 630 minut, albo inaczej: dziesięć i pół godziny trwała w sumie projekcja tego fresku filmowego.

W porównaniu z szerokoekranowym filmem Wojciecha Hasi, którego premiera w kinach odbyła się dokładnie dziesięć lat temu, dysponował Bera kilkoma dniami dłuższym czasem ekranowym, co stwarzało szansę w pełniejszą sposób wykorzystać bogatą i złożoną materię tkwiącą w powieści Prusa. Z możliwości tej aut. serialu telewizyjnego skorzystał. Sprzyjał mu nie tylko dłuższy metraż jego dzieła, ale także specyficzny, płynny charakter narracji typowy dla serialu, odmienny rodzaj percepcji jego przez publiczność. O ile w kinie nastawieni jesteśmy

na pewien efekt jednorazowy, na zmasowaną emocję, która zawiązała ma się skulminować i rozstrzygnąć w umownym ale podyktowanym granicami fizycznej wytrzymałości widza czasokresie około dwóch godzin, o tyle serial funkcjonuje w naszym aparacie odbiorczym zupełnie inaczej. Oddziaływanie jego, jak w przypadku „Lalki”, rozkłada się na szereg tygodni, kulminacje przychodzą i odchodzą jak fale przypływu i odpływu morskiego, drażnią naszą świadomość, wyzlobiają sobie do niej drogę, nie metodą gwałtownych wzruszeń, ale niedostrzegalnym zadomawianiem się.

Owa tygodniowa przerwa w odbiorze to pozornie tylko długi okres rozstawania się z serialem. Mamy bowiem przeświadczenie, że coś się nie zakończyło, że dalszy ciąg nastąpi. Wracamy więc po takiej pauzie do kolejnego odcinka serialu — w atmosferze wewnętrznej oczekiwaniami, wymagającej się ciekawości, coraz głębszego zaangażowania. Łapiemy się nawet na tym, że w miarę zagłębiania się w odbiór serialu rewidujemy początkowe sądy, godzimy się z tym, co nas w początkowej fazie denerwowało, ulegamy sile przyzwyczajenia.

W taki sposób działa tylko serial dobrze zrobiony, to jest ze świadomością owej siły, z zamysłem wywołania u widza takich właśnie skutków. W tych kategoriach uważa należy serial Bera za zdecydowanie udany. Jeżeli ktoś mógł mieć wątpliwości, czy warto znów kręcić dla telewizji „Lalkę”, skoro można by po prostu wznowić na małym ekranie film Hasi, to oglądając cotygodniowo obrazy Bera zmienił z pewnością zdanie.

Frapująca była szczególnie konfrontacja obsady trzech głównych postaci powieściowych, decydującej w dużej mierze o odmienności obu zamierzeń filmowych. A więc Wokulski w interpretacji Mariusza Dmochowskiego i Jerzego Kamasa. To dwie osoby, różniące się nie tylko wyglądem zewnętrznym, ale także temperamentem i motywacją swego działania. Wokulski Dmochowskiego był silniejszy w sensie witalnym, energiczniejszy i impulsywniejszy. Ten w ujęciu Kamasa (wspomniata rola aktora; dziw, że w Olsztynie nagrodzono tylko gre Pawlika w roli Rzeckiego i Boruńskiego jako doktora Szumana, pomijając Kamasa) jest zamknięty w sobie, refleksyjny, oszczędny, albo wręcz skąpy w geście, w mimice, w słowie.

Który z dwóch proponowanych nam Wokulskich jest lepszy, bliższy naszemu wyobrażeniu o tej postaci wyniesionemu z lektury Prusa? Każdy z dwóch aktorów skupił się jakby na innych cechach osobowości Wokulskiego. Może właśnie z syntezy tych dwóch realizacji aktorskich rodzi się pełniejsza poznanie bohatera „Lalki”, kupca — pozytywisty i romantyka jednocześnie?

Albo Rzecki obsadzony u Hasi przez nieodwołanego Tadeusza Fijewskiego (zmarł dokładnie w dniu emisji ostatniego odcinka serialu), a u Bera przez Bronisława Pawlika. Znowu całkiem odmiennie postaci, choć w opisie w tę samą fabule i postępujące identycznie. Fakt, że serial dawał odbiorcy roli Rzeckiego więcej materiału, przenosząc na ekran słynny „Pamiętnik starego subiekta”, to integralną czaściek powieści Prusa pominięta niemal całkiem w filmie Hasi, ile ciekawego humoru

Prusa i jego nie gryzącej ironii udało się ocalić Pawlikowi!

Wreszcie budzący najwięcej kontrowersji serialowa obsada roli panny Izabelli. Wspomniata ta w interpretacji Beaty Tyszkiewicz, piękna, dystygowana, panująca nad oddechami. Małgorzata Braunek nie podjęła konfrontacji na tym polu. W mniejszym stopniu akcentowała wielkopolskie manery i szyk panny Łękiej, skupiła się natomiast na uwyppukleniu wątpliwości, jakimi bohaterka powieści powodowana jest w działaniu. Braunek może najdalej odejść od pierwowzoru literackiego, ale stworzyła postać dość wyrażnie i konsekwentnie zarysowaną.

A w ogóle — jakąż to rozkosz móc tak właśnie porównywać, przeciwstawiać obrazy postaci ewokowane w nas lekturą „Lalki” z różnorodnymi ich interpretacjami ekranowymi! Jak niejednoznaczne są wnioski końcowe, do jakich prowadzi nas powieść, film i serial, choć wszędzie zachowano owo horacjańskie „Non omnis moriar”!

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

zdarzenia i zwierzenia

Niedawno jeden z pisarzy przyniósł mi niedzielną wydanie olsztyńskiego dziennika, w którym zaznaczył czerwonym atramentem aż trzy felietony miejscowych literatów. „Dlaczego — zapytał — w naszej prasie codziennej brak felietonów literackich?”

Bąknąłem coś, że czasem są, a w ogóle Łódź ma tygodnik społeczno-kulturalny, ma „Kalejdoskop”, ale sam do końca nie byłem przekonany, że to są jakieś argumenty.

Parę dni temu ten sam pisarz przyniósł mi lubelski „Sztandar Ludu” z cotygodniowym „Magazynem Literackim”. Położył przede mną i rzekł: „W Lublinie jest „Kamena”, codzienne gazety tylko dwie — a jedna z nich drukuje jednak cotygodniową kolumnę literacką. Pisarzy w Lublinie jest co najmniej trzy razy mniej niż w Łodzi, a jednak...”

Nie się nie odezwałem, bo przecież rzeczywiście „a jednak...”

TEMATY DO PRZEMYSŁU

Niedawno byłem w Katowicach i w organie partyjnym widziałem drukowaną w odcinkach powieść współczesnego pisarza. Nie, nie katowickiego. Właśnie łódzkiego. U nas natomiast, albo się drukuje zachodnie „kryminały”, albo wpada w drugą skrajność i publikuje powieść mało znanego pisarza radzieckiego, chociaż wszystkim wiadomo, że współczesną prozę radziecką reprezentują pisarze naprawdę wybitni. O nazwiska (Ajmatow, Szukszyn, Samochin, Rasputin) wymieniam na chybił-trafił można zwrócić się do łódzkich rusycystów.

Powie ktoś, że się czeplam kolegów z innych redakcji. Otóż nie — jeśli to w ogóle jest „czeplanie się”, to raczej określonej atmosfery. Pisałem kiedyś w „Życiu Literackim” o takim choćby drobiazgu. Jeżdża do Związku Radzieckiego „Pociąg Przyjaźni”. Niech mi kto powie, czy i ilu zaproszono do udziału w takim wyjeździe łódzkich pisarzy — tłumaczy prozy i poezji radzieckiej. Otóż — ani jednego.

W „Życiu Literackim” pisałem o tym przed rokiem. Ktoś tam nawet to przeczytał. Ktoś wzruszył lekceważąco ramionami i wszystko zostało po staremu. Nasz osobisty kontakt z bardzo prężną i naprawdę interesującą grupą pisarzy z Iwanowa sprowadza się do tego, że jeden z łódzkich pisarzy był tam dziesięć lat temu (na stypendium ZG ZLP), niżej podpisany dwa razy, i to też przed kilkunastu laty i też w ramach wymiany ZG ZLP i ZG RSW „Prasa”. Innych osobistych kontaktów literackich z Iwanowem nie było.

Mój postulat sprzed roku o „literacki przedział” w łódzkim „Pociągu Przyjaźni” został zlekceważony.

To nie są nawet „gorzkie żale”, tylko normalnie i publicznie wyrażona pretensja. Uważam bowiem, że obecność naszych przekładów w Smoleńsku i Iwanowie jest równie ważna, co obecność przekładów pisarzy Smoleńska i Iwanowa w łódzkiej prasie. Powiadam — w prasie, bo na łamach „Od-

głosów” obecność ta jest faktem.

Kiedy mi ktoś mądry i odpowiedzialny powiedział, że kolumna literacka w gazecie codziennej jest mrzonką, nie rzekłem nic, bo i cóż mógłbym rzec? Ale trudno mi się wyzbyć uczucia podziwu i zaskoczenia, że jednak w 250-tysięcznym Lublinie taka niestychała trudna sprawa nie okazała się mrzonką.

W tym roku zakończył się w Łodzi konkurs na powieść o włóknarzach. Czy któraś z nich znajdzie się w odcinkach na łamach prasy codziennej? Śmiem wątpić. A przecież nikt otwarcie nie powie, że temat jest tego niewarty, albo, że efekty artystyczne gorsze od „kryminału” z amerykańskiej taśmy. A zatem?

Powtarzam — to nie są „gorzkie żale”, tylko jasno postawione tematy do przemyslenia. Oczywiście, jeśli się komuś zechce pomyśleć.

WIDOK

propozycje

Każde szanujące się pismo posiada korespondentów, którzy piszą z Berlina, Moskwy, Waszyngtonu, Nowego Yorku, Jokohamy, Londynu. Resztę dużych miast proszę sobie dopowiedzieć dowolnie. Każdy szanujący się felietonista wyjeżdża gdzieś od czasu do czasu, aby podzielić się z Czytelnikami swoimi wrażeniami z podróży. Uważam że dwa powody za zupełnie wystarczające, abym i ja udał się wreszcie w podróż oraz uważam je za zupełnie usprawiedliwiające moją wyprawę do Poznania. W końcu to nie jest daleko, a powiedzenie, że podróż kształca nie określa, jakie to muszą być podróże, dalekie czy bliskie. Ważne, żeby podróżować i przez to uczyć się. Pojechałem więc do Poznania.

O Wielkopolsce mówi się u nas z szacunkiem, a jest to szacunek dla porządku, umiejętności organizacyjnych i gospodarności. Jaka cechuje tamtejszy lud. Stereotyp ukształtowany przed latami każe uważać, że cechy te nabyli Wielkopolanie od zaborcy. Stefan Bratkowski w książce „Skąd przychodzimy?” podważył ten stereotyp, wykazując, że Wielkopolanie kształtowali te swoje, tak podziwiane do dziś ce-

LIST Z POZNANIA

chy, w walce z zaborcą. A jest to różnica dość istotna. Sądzę, że raczej ma Stefan Bratkowski a nie ukształtowany przed latami stereotyp. Ale walka ze stereotypami przypomina trochę walkę z wiatrakami.

Rację ma Stefan Bratkowski między innymi i dlatego, że — jak to podkreślają historycy — jeśli gdziekolwiek myśłano o odrodzeniu polskiej państwowości, pod koniec XIX wieku czy na początku XX, pod jakimkolwiek panowaniem na zasadach federacji, to nigdy nie myśłano o tym na Śląsku, Pomorzu i w Wielkopolsce. Tutaj trwała bezpardonowa walka. I aby tę walkę wygrać trzeba było tak zorganizować, aby nie dać się dobrze zorganizowanym Niemcom. Kto się interesuje historią najnowszą, ten wie, że w Wielkopolsce i na Pomorzu tę walkę wygrano.

Wróćmy do współczesności. Pewien łódzianin, który niedawno przyniósł mi do Poznania powiad, na podstawie pierwszych kontaktów i obserwacji: — poznaniacy są narodem rzemieślników. Chodzi tu oczywiście o cechy, jakimś charakterystycznym się kiedyś rzemieślnicy, o cały zespół tych cech, o których dziś mówimy, że warunkują dobrą robotę. Tylko, że najczęściej ludzie dobrej roboty czynią ją z pobudek ideowych bądź z wewnętrznej potrzeby, a poznania-

cy mają to już niejako wpojone wraz z wieloma innymi naukami, jakie przekazuje się w trakcie wychowywania. Mają już tradycyjnie ukształtowane nawyki. Warto się tego od nich uczyć.

Co jednak nie znaczy, że mnie jako łódzianina parę rzeczy w Poznaniu wiele nie ucieszyło. Przede wszystkim komunikacja. Spieszyło mi się bardzo, komu się dziś nie śpieszy, postanowiłem więc skorzystać z dobrodziejstwa komunikacji samochodowej, zwanej taksówkami. Przed poznańskim dworcem stała gigantyczna kolejka, czekająca na taksówkę. Stałem na jej końcu. Taksówki podjeżdżały, nie powiem, ale czas też biegał nieubłaganie. Przypomniałem sobie wtedy stare, łódzkie powiedzenie, że jak się komuś spieszy, to powinien jechać autobusem lub tramwajem. W Łodzi jest ono już nieaktualne, ale w Poznaniu może okazać się praktyczną wskazówką. Otóż nie. Bardzo ucieszył mnie fakt, że w Poznaniu tramwaje kursują tak samo, stądami jak w Łodzi i też czeka się na takie stado równie długo jak u nas. Swojski jest jak się jakoś tak zrobiło i przyjemnie, chociaż zupełnie nie było ku temu żadnego racjonalnego powodu.

Słyszałem wiele o „Hotel — systemie”, jako nie tylko o znakomitej tablicy zainstalowanej w tunelu poznańskiego dwor-

ca PKP, ale też jako o sposobie informowania i rezerwowania miejsc w poznańskich hotelach. Owszem coś takiego istnieje. Na wielkiej świetlnej tablicy, gdzie są fotografie hoteli poznańskich, ich rozlokowanie na planie Poznania oraz adresy, wisi też słuchawka telefoniczna, a zainteresowany gość naciska odpowiedni guzik i dowiaduje się, że w danym hotelu nie ma wolnych miejsc, bo zapaliła się czerwona lampka, albo są, kiedy zapali się zielona, wtedy może dowiedzieć się od recepcjonistki, jakie są to miejsca, w jakich pokojach i jeśli jemu to odpowiada, to sobie wstępnie rezerwuje. Coś pięknego! Poza tym zupełnie darmo. Nie trzeba wrzucać żadnej monety. Pełny luksus. Tylko jedna drobna niesumienność: nie dowiedzenie się, gdzie będą spać najbliższej nocy. Cała ta aparatura nie działa z powodu — jak napisali skrupulatni poznaniacy „awarii urządzeń elektronicznych”.

Zadzwoniłem więc do Biura Skierowań, gdzie dowiedziałem się, że właśnie w miejskich hotelach miejsc nie ma i nie będzie, a do orbisowskich to muszę osobiście dzwonić do każdego z osobna. I gdyby nie znakomity, zawsze sprawnie funkcjonujący „Znajomi — system”, to spałbym na dworcu. A tak człowiekowi przygarnci, rozmowa zabawili, kolacją poczęstowali i jeszcześmy się napili za zdrowie i pomyślność Poznania.

MARCIN RODAK

sport

Sport stał się popularny. Nie ma chyba wątpliwości, że jest to zasługa telewizji. Dziś starszakiowie, kiedy spotykają się w parku na ławeczce, nie pytają: — co tam panie w polityce?, a tylko: — co tam panie w sporcie?, nasi znów wzięli łanie? Nie jesteśmy bowiem zadowoleni z wyników, jakie uzyskuje nasze sportowe sławy i słusznie, wymagania trzeba zwiększać nieustannie.

Sport przenika jednak coraz silniej do codziennego życia. W języku powszechnie używanym pojawiają się sportowe terminy, w działaniu sportowa rywalizacja — To ja go biore na wirażu — odpowiada pewien pan we właściwym wieku o swojej karierze zawodowej — i wychodzę na prostą, a on już daleko w tyle. Sport przeplata się z innymi dziedzinami życia. Oto w Paryżu organizuje się wysiłek kelników w telewizji polskiej ścigali się ze sobą, dla dobra innych, pilkarz — Stanisław Terlecki i krytyk literacki — Julian Rohoziński. W Pradze natomiast odbyły się wysiłki kucharzy i cukierników: „Gastroprag — 78”. I choć organizatorzy „Gastropragu — 78” nie zapraszali dziennikarzy, „Życiu Gospodarcemu” udało się wszakże wep-

MEDAL ZA INDYKA

chnąć na tę imprezę swego specjalnego wysłannika.

To były wyścigi! Nasza drużyna przywiozła z Pragi 11 medali: 2 złote, 4 srebrne i 5 brązowych. Dawno już jedna drużyna nie przywiozła z żadnych zawodów takiej ilości medali. A gastronomiczni nasi przywieźli. Chwała więc naszej gastronomii. Ale jak słusznie powiedział wiceminister handlu CSRS — Frantiszek Ružicka: — „Oby tylko te wasze i nasze specjalny w tak ładnej formie trafiały w dnie powszednie na stoły w polskich i czechosłowackich restauracjach i kawiarniach...” Świetne słowa. Okazuje się, że w gastronomii jak w sporcie, czołówka daleko odbiega od przeciętnego poziomu.

Bywały czasy, kiedy nasi przywozili więcej medali. W 1974 roku przywieźli 20 medali, w tym 7 złotych. Zdaniem trenera polskiej ekipy — dyrektora Zakładu Gastronomii „Społem” w Katowicach poprzedni wynik może być lepszy tylko dlatego, że inne były zasady punktowania. Jak trzeba było, to przyznawano trzy srebrne medale, w tym roku tylko po jednym w każdej konkurencji. Tak więc mniej medali nie znaczy wcale gorzej. A poza tym polska ekipa gastronomiczna pojechała do Pragi bez należytego przygotowania. Nie odbyły się treningi, nie było obozu kondycyjnego, bo gdzieś

u kogoś za długo leżało w biurku zaproszenie. Zupełnie jak w sporcie. A obóz kondycyjny jest potrzebny, bo na poprzednim „Gastropragu” jeden z polskich cukierników, niosąc do jury piękny wielki tort... rozłożył się jak długi na posadzce. Śmiechu było wiele, nagrody żadnej. Pech szaleje wśród sportowców i wśród cukierników.

Sprawozdawca „Życia Gospodarczego” nie był w stanie opisać wszystkich smakowitości, jakie pokazali nasi i nie nasi gastronomiczni. Slinka mu ciekła nieustannie, a kiedy nasi prezentowali „Biesiadę staropolską” nawet go subraty do stołu nie zaprosili. Stał na widowni i patrzył, jak inni delectowali się specjalami polskiej kuchni. Czego tam nie było?

A więc był aperitif z przekąską — plecionką mięsna, polewką słowińska, pieczeń staropolska, drażone ziemniaki, pyzy faszerowane, pieczonka ziemniaczana i różne surówki. Na deser kompozycja galaretek „Teliemena”, herbata z dzikiej róży, do popijania sok z czarnej porzeczki, piwo żywieckie oraz tajemniczy „napitek Zagłoby”. Za ten staropolski obiad nasi otrzymali brązowy medal. Można sobie wyobrazić, jakie musiały być obłady na srebrny i złoty. A nasi pojechali przecież nieprzygotowani. Jedną tylko ciężarówką, podczas gdy ekipa

z RFN miała kilka specjalistycznych wozów, przewożących meble, chłodnie i temu podobne. Znow jak w sporcie. Wielka improwizacja.

Ale też w gastronomii, jak w sporcie, mamy niebotyczną różnicę poziomów między tymi najlepszymi, którzy jeżdżą po medale i tymi, którzy na co dzień grają w pierwszej, drugiej, trzeciej i gminnej lidze gastronomicznej. Po smakolówkach z mistrzostw świata nie szukajcie frykasów na ligowych boiskach, bo tu obowiązują inne zasady, tu się gra w coś innego i o coś innego. Wyczyny mistrzów mają się tak do codziennej praktyki, jak pięść do nosa i nie tylko w pilce nożnej, nie tylko w gastronomii.

Cieszą nas zawsze sukcesy naszych najlepszych odnoszone na zagranicznych boiskach, na targach wystawach, przetargach i temu podobnych imprezach, ale chcielibyśmy, aby coś z tego wynikało, aby i na nas spadała ociupinka tego splendoru. Aby — na przykład — można było w każdej restauracji obok „łódzkiego eksportowego” dostać też piwo żywieckie, tyśkie oraz ciemne piwo dla amatorów tego napoju. Aby nasi najlepsi i ich następcy chcieli też wysilić się na ligowym boisku. Chcielibyśmy bardzo. Cóż jednak z tego, kiedy w gastronomii i sporcie mamy na okragło brzoło z pieczarkami albo kurczaka pieczonego co najwyżej.

BOGDA MADEJ

GALERIA PISARZY ŁÓDZKICH EWA OSTROWSKA



Węza posłuchała,
Prozie się oddała.

Rys.: Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

UCIAĆ RĘKAW!...

lewym
okiem

Parę lat temu w Budapeszcie sprzedawczyni w sklepie odzieżowym podając mi do przymierzenia kurtkę zażądała kaucji pieniężnej. Ponieważ ten wstępny obyczaj znany mi był z rozległej praktyki krajowej, dałem bez słowa żadaną kwotę i dopiero później zorientowałem się, że w sklepie znajduje się większa grupa naszych rodaków i że tylko od nich żąda się zabezpieczenia.

Od tamtej pory gdziekolwiek zdarzy mi się by za granicą, nie wchodzę nigdy do sklepu, gdzie wśród klientów słychać polską mowę. Niestety, nie mogę tej unikowej metody zastosować we własnym kraju rodzinnym.

W salonie — bo mamy już teraz nie sklepy, tylko albo salony, albo butik, albo jeszcze inne hiper super samy — otóż w salonie obuwniczym dała mi do przymierzenia lewy bucik i następnie odbierała go, dając do przymierzenia prawy. W salonie odzieżowym niezależnie od pobranej kaucji sprzedawczyni staje przy szafce przymierzalni i zagląda co chwile do środka, czy aby nie wyparował. Nie wiem, czy jest uzbrojona. W pewnym samoobsługowym lokalu zbiorowego psucia żóładka w Kaziemierzu nad Wisłą zażądano ode mnie niedawno zastawu za nóż; w wielu lokalach noże są ucięte do połowy albo celowo wyszczerbione, żeby nikomu nie mogły się podobać. Podobno rozważa się obecnie sprawę polamania w tym samym celu łyżek i widelców, potrącania ostatnich uszek przy kubkach w barach mlecznych i generalnego potłuczenia talerzy. W dalszej kolejności należy oczekiwać żądania kucji za obrus i sztućca mimo że w lokalach kategorii „S”. Nie będzie się natomiast żądać zastawu za solniczki, bo łatwiejszym rozwiązaniem okazało się zlikwidowanie solniczek w całym kraju. Teraz wchodzimy do re-

ĆWIEK